



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1
sgr. 20.

ADRYAN BARANIECKI.

Muzeum techniczno-przemysłowe i wyż-
szy zakład naukowy dla kobiet.

I.

Kiedy obliczać będziemy zasłużo-
nych mężów naszego czasu, jedno z wy-
bitniejszych miejsc w tej grupie zajmie
piękna, ofiarnicza, szlachetna postać
Dra Adryana Baranieckiego, twórcy
Techniczno-Przemysłowego Muzeum
w Krakowie, które w 1868 r. założył
i od tej chwili prowadzi i utrzymuje
sam, łącząc z nim najpożyteczniejsze,
najpotrzebniejsze instytucje naukowe.
Urodzony 1828 r. na Podolu, mieszkał
tam i jako lekarz praktykował czas
długi w miasteczku Jarmolińcach, aż
w 1868 roku, po kilku latach spędzo-
nych w podróży po Europie, ukazuje
się nam w Krakowie i rozpoczyna no-
wy okres działalności publicznej, za-
znacząc ją darem, uczynionym gmi-
nie krakowskiej z 5,000 okazów, sta-
nowiących zbiór, który dał początek
wspomnianemu muzeum. Dziś muzeum
to liczy ich 30,000, tak w materiałach
surowych, jak i w wyrobach wszystkich
gałęzi fabrycznego, rolnego i domowe-
go przemysłu, oraz w zastosowaniach
sztuki do przemysłu i rzemiosł, a jest
to owoc starań, zabiegów i kosztów
szlachetnego człowieka, co swój cały
czas i mienie poświęca instytucji wznie-
sionej przez siebie, która, jak śmiało
powiedzieć można, żyje jego duchem,



Dr. Adryan Baraniecki.

jakkolwiek miasto łoży na jej utrzyma-
nie, a sejm krajowy udziela obecnie na
ten cel 2,000 zł. reń. rocznie. Ale co
tu jest rozwojem i postępem, co uboga-
ca muzeum materialnie i moralnie, jest
zawsze jego osobistym czynem i zasłu-
gą, z jego inicjatywy powstaje i jego
myśl, jego uczucie obywatelskie to two-
rzy. Dzięki tej myśli, jasnej i rozumnej,
która sobie z potrzeb kraju należyta
sprawę zdaje, dzięki temu uczuciu, któ-
re zawsze się łączy z tętnem bijącym
w sercach ogółu, Dr Baraniecki jedno-
cześnie z otworzeniem muzeum urzą-
dził przy niem *Wyższy zakład naukowy
dla kobiet* o pięciu wydziałach, oraz
*Wykłady popularne bezpłatne dla publi-
czności w Niedziele i święta*, głównie o-
brachowane na oświecanie ludności rze-
mieślniczej, a którym Dr Baraniecki
oddawał się całą duszą, pragnąc wy-
tworzyć takie ognisko oświaty, któ-
reby nie tylko podniosło warstwę lud-
dową na wyższy poziom wiedzy, ale
wraz ze światłem wprowadziło w umy-
sły podniosłejsze pojęcie życia i moral-
ności, obowiązków obywatelskich. Ro-
bił wszystko, co robić było można; pil-
nował troskliwie, aby szczepiono tam
w lud jedynie pojęcia zdrowe i uczciwe,
z duchem tradycji narodowych zgodne;
przecież brakło mu poparcia wpływów
miejscowych, wystąpiły ztamtąd wła-
śnie przeszkody niespodziane i niedziel-
ne wykłady popularne, mimo dziewię-
cioletniej pracy ich założyciela i grona
tych, którzy z nim współpracowali, nie
wyrobiwszy sobie dostatecznie ustalo-
nego gruntu, zostały zwinięte w 1876 r.
Wyższy zakład handlowy dla mężczyzn
otworzony w 1870 r., wraz z salami ry-

sunkowemi, istniał też tylko do 1877 r., i z instytucyj naukowych, które muzeum pragnęło skupić w koło siebie, przetrwał dotąd szczęśliwie tylko *Zakład naukowy dla kobiet*, z którego przecież korzysta bardzo mała część kobiet krakowskich i słuchaczkami są przeważnie przyjezdne ze stron dalszych. A jednak sprawozdanie z wystawy wiedeńskiej przyznało tej szkole znaczenie bardzo wysokie i uznało ją za jeden z najlepszych tego rodzaju zakładów w Europie.

Przecież samo Muzeum rozwija się bardzo pomysłnie i sprawozdanie, które w roku zeszłym ogłosiło drukiem, wykazuje szczęśliwy rozwój tego postępu w przyroście majątku muzealnego. Oprócz sześciokrotnego pomnożenia się okazało z dziedziny przemysłu, które zalecają się, nie tylko liczbą lecz i wartością, bardzo nawet wysoką w niektórych, nabytych przez Dra Baranieckiego na Wiedeńskiej i Paryskiej wystawie; biblioteka Muzeum liczy 3,500 dzieł i broszur, 170 map i planów, 1,400 rycin i fotografii; gdy oddzielna biblioteka zakładu naukowego dla kobiet, z własnego księgozbioru Dra Baranieckiego pochodząca, mieści w sobie dzieł 2,000.

Sale rysunkowe posiadają 980 gipsów, 1,200 wzorów rysunkowych, zbiór akwarelli, figur anatomicznych i innych pomocy naukowych. Zbiór zoologiczny ma 327 zwierząt ssących i ptaków wypchanych, 400 okazów zwierząt z gatunków niższych; 34 skieletów i preparatów do anatomii porównawczej. Przytem muzeum liczy 180 narzędzi technicznych i przyrządów fizycznych; zielniki i 72 modele kwiatów sztucznych. Do szacownych zapasów muzeum zalicza się zbiór pisma i alfabetów całego świata z tekstem polskim, wykonanym w Krakowie na przestrzeni blisko 200 metrów mającej. Przy muzeum istnieje jeszcze laboratorium chemiczne, oraz odlewnia gipsów o 150 matrycach, prowadzona kosztem dyrektora, jak i wszystkie, z muzeum złączone zakłady, a gdy się pomyśli, że instytucja, tak ważna w cywilizacyjnym postępie kraju i do takiego znaczenia podniesiona, w takie zbiory i pomoce naukowe zasobna, powstała z dobrych chęci i ofiarności jednego człowieka — że wzmacnia się i utrzymuje jego staraniem i trudem, uczuwa się dlań nie tylko wielką wdzięczność jako dla obywatela, który skarbnicę ogólnego dobra tak wzbogacił, ale i głęboki szacunek dla tej dostojności duchowej człowieka, który na życia swego szczęście i zadowolenie obrał sobie taką „część dobrą“. — „Nie będzie ona odjęta mu: zostanie mu na zawsze w postaci wysokiej zaśluzgi i ogólnego uznania całej powszechności naszej, którą prawdziwa miłość społeczeństwa swego, złączona z uczciwem sprawiedliwości uczuciem, podnosi nad wszelkie stronnicze, wszelkie poboczne względy. Dobro, które niezawodnie, nie z widoków własnego interessu, ale z miłości ludzi, z miłości kraju swego czynimy, jest jak brylant: czyste jak łza, pod wzruszeniem uczciwego uczucia wylana, ma w sobie siłę świetlaną, która je promienistą pięknoscią odziewa. Tak mi się przedstawia zacna działalność Dra Baranieckiego, tak mi jasnie przed oczyma sama postać jego i kwiat nieśmiertelnika, zerwany przed laty kilku w małym ogródku jego muzeum, chowam sobie jako pamiątkę po chwili pięknej, w której poznałam taką szlachetną osobistość ludzką — takiego poświęconego ogólnemu dobru obywatela.

Wyższy zakład naukowy dla kobiet, będący jednym ze szczególnych tytułów Dra Baranieckiego do wdzięczności ogółu, wymaga oddzielnego i obszerniejszego sprawozdania. Dobiega mu rok trwania trzynasty; kształci się w nim rocznie około 140 uczennic, co stanowi już liczbę poważną, a że to jest zarazem jedyna wśród społeczeństwa naszego szkoła dla kobiet z wykładem nauk akademickim, że wydział sztuk pięknych kształci uczennice w kierunku, który otwiera wiele gałęzi tej pracy zarobkowej tak niesłychanie u nas potrzebnej dla kobiety z klasy inteligencji niezamożnej, publiczność nasza powinna go znać dobrze, mieć o nim pojęcie jasne i dokładne.

Prócz tych zasług społecznych, posiada Baraniecki inne: na polu piśmienniczym naukowości naszej, w zakresie literatury lekarskiej. Dzieła jego są: *O Janie Szmerze, mniemanym lekarzu polskim; O ma-*

teryach do topografii i statystyki lekarskiej Podola; Program topografii lekarskiej; O stowarzyszeniach lekarskich prowincjonalnych.

Marya Ilnicka.

OBOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg, ob. Nr 21).

„Dobry przykład rodzi owoce dobre“ pisze Smiles, wymieniając długi szereg angielskich kobiet dobroczynnych, przekazujących sobie w kolej dzieła świętych uczynków ludzkości. Po miss Nightingale i Stanley, bohaterkach wojny krymskiej, występuje Florencia Lees, która bierze po tamtych dwóch dziedzictwo poświęcenia, staje się naczelniczką angielskich Sióstr miłosierdzia, dyrektorką Westminsterskiego Stowarzyszenia dozorczyń chorych, i wiezie je ze sobą w 1870 r. na krwawą polę Francji, pod Metz, sypia tam na worku słomy i nie cofa się przed żadnym trudem, żadną ofiarą; przyczem wykazuje, nie tylko wielką siłę uczucia i dobroci serdecznej, ale ogromną energią i wyższe w zawodzie swem wiadomości. Towarzysząc do Niemiec jeńcom francuzkim, przez Bazaine'a zaprzędanym, objęła w Homburgu zarząd nad lazaretem żołnierzy, gdzie staczała prawdziwe walki z niemieckimi lekarzami i ich metodą obchodzenia się z rannymi. Trwoga przed przeciągami panuje we wszystkich szpitalach niemieckich; okna, które ona kazała otwierać dla dopływu świeżego powietrza, zamykano natychmiast, skoro oddaliła się z sali; ale miss Lees pewna siebie i przekonana, że to, co czyni, jest dobrze czynionem, apelluje aż do następcy tronu niemieckiego i dopina swego z najszcześniejszym skutkiem dla rannych.

A przecież powołanie miłosierne obudziło się w tej mężko-dzielnej niewieście sposobem najmocniej kobiecym: powstało z boleści serdecznej, z żalu za utraconym bratem, który umarł w Chinach, w morskim szpitalu w Szangai, i gdy myślała o jego zgonie smutnym, zdala od domu i rodziny, w którego chwili nie miał może starań należnych i tego tkliwego współczucia, które łagodzi cierpienia, uczuła raz pierwszy pragnienie, aby nieść ulgę samotnej niedoli żołnierza i marynarza, ginącego dla ojczyzny wśród obcych. Chęci te, zrazu nieśmiało, zwierzyła znajomemu sobie kapłanowi, biskupowi z Winchester, ale była wtedy młodą dziewczyną, zostawała pod wpływem świeżej boleści i książdź odpowiedział jej mądrze, aby poczekała, aż czas złagodzi cierpienie, a umysł dojdzie swej dojrzałości. Przecież postanowienie jej było silne i niezmiennie; czuła to i zwróciła się z kolei do miss Nightingale, w której czcila najszlachetniejsze wcielenie męskiej cnoty niewieściej. Ta nie odmówiła jej rad i wskazówek, nauczyła: jak wzmacniać i wyrabiać w sobie ducha, jak przygotowywać się do zawodu pełnego ofiar i trudów, mogących złać kobietę z tych klas wyższych, w których nie pracuje ona, lecz używa, je chleb przygotowany przez ręce czyjeś. Miss Lees zrozumiała doniosłość rady i wdzięcznie poszła za nią; sposobiła się w cichości do zamierzonego zadania, aż po trzech latach, to jest za dojściem do pełnoletności, weszła do szkoły miss Nightingale przy londyńskim szpitalu św. Tomasza.

Jak Florencia Lees jest osobistością czynną i zarazem żądną poznania wszystkich możliwych środków, któreby wiodły do najdoskonalszego wypełniania dobra, stanowiącego jej zawód szlachetny — jak ten duch piękny i czysty nie upaja się kadzidłami czci ludzkiej i poklaskiem otrzymanego uznania, poświadcza fakt, że już po wojnie francuzko-niemieckiej w 1873 r. pusiła się w naukową podróż do Kanady i Stanów Zjednoczonych, aby zwiedzić kolejno wszystkie znakomitsze szpitale Ameryki. Ze przecież po trzyletnim kursie nauki w szpitalu londyńskim przebyła dodatkowe, lat kilka trwające studia w Niemczech i we Francji, zwiedziła troskliwie i pracowicie szpitale Bel-

gii i Hollandyi, oraz Danii i Szwecyi: łatwo zrozumieć jakim jest zapas posiadanych przez nią wiadomości zawodowych, jaka znajomość rozmaitych metod i wiedza, którą rozporządzać może przy wypełnianiu swego dobroczynnego powołania.

A jaka przytem wytrwałość, jaka dzielność charakteru i szerokie pojęcie obowiązku! Jeżeli prawdą jest, że dobry przykład, to ziarno, które się wsiewa w serca, aby rodziło uczynki cnoty i poświęcenia, to może nie napróżno odtwarzam dla czytelników naszych ten obraz wzniosłego istnienia kobiety mocnej. Tyle jest u nas dróg pustych, które przecież wiedą do najświętszych celów ludzkości, do najświętszych dla nas celów społecznych — tyle dróg, które czekają, aby wstąpiły na nie takie, jak owa Angielka szlachetne, czyste i hartowne: mocnego ducha, silnej woli, gorącego serca kobiety. Tyle dróg! tyle dróg! — tyle cierpienia po ranach otrzymanych, tyle braków, tyle ciemnoty, potrzebującej opatrzenia, a czy mało sióstr, które utraciły brata w taki sposób, jak miss Florencia Lees?

Z dziennika, w którym spisywała czynności swoje w szpitalu gorączkowych pod Metz, Smiles wyjmuje szczegół następujący: — Jednej nocy była w szpitalu sama; czuwała też, gdy naraz dochodzi ją jakiś hałas na górnym piętrze, biegnie tam i spostrzega żołnierza, który w szale gorączki zerwał się z łóżka i chce wybić drzwi, aby pójść do domu. Był to Niemiec i wołał matki; miss Lees zaczęła go prosić, aby się położył, obiecując, że jutro puszcza go do niej. Może istotnie puszczone: może duch jego uleciał tam nazajutrz, nie zatrzymany przez nikogo; tej nocy przecież biedna, drżąca kobieta, ledwo zdołała go uspokoić i położyć do łóżka, przy pomocy jednego z mniej chorych i przytomniejszych jego towarzyszy. Ale tymczasem na dole, gdzie wraca, inny, też gorączkujący biedak, szuka noża pod poduszką obok leżącego kolegi. Nóż ów był tam rzeczywiście, miss Lees zdołała go usunąć jeszcze dość wcześnie, aby zapobiedz może straszemu nieszczęściu, ale gdy nazajutrz przybył lekarz, zażądała, aby nigdy nie była sama jedna na nocnej straży przy chorych.

Miss Lees przepędziła na tym posterunku, w tych ciężkich warunkach, kilka tygodni.

Znanem jest ogólnie poświęcenie miss Carpenter i jej miłosierna praca nad moralnie zaniedbanem dzieciństwem, nad młodością już skazaną i upadłą. Jej szlachetne zajęcie się Indyami, jej troskliwa czynność wspierania tam prowincyj dotkniętych głodem i to, co czyniła w kierunku zaszczerpienia między krajowcami oświaty, składa się razem na obraz wysoce zasłużonego życia kobiety i obywatelki, którą też naród uczył słusznie posagiem. Smiles zaraz obok niej stawia Mrs Chisholm. Ta wśród ruchu emigracyjnego do Ameryki i Australii, zajęła się losem młodych kobiet; organizowała ich wychodźstwo, kierowała niem na zasadzie stosunków z krajami, gdzie młode emigrantki śpieszyć chciały, a gdzie po przybyciu ich na miejsce, póty nie cofnęła im tkliwej, macierzyńskiej opieki, aż znalazła dla nich utrzymanie i przytulenie się gdzieś uczciwe. A życie tej zacnej opiekunki sierot, już najbiedniejszych, bo nawet kąta w ojczyźnie znaleźć niemogących, przedstawia inne strony piękne i ciekawe. W dzieciństwie jeszcze uderzyła ją myśl, jak bolesną rzeczą jest emigracja, opuszczenie wszystkiego, co się zna i kocha, rzucenie się w strony obce, między ludzi obojętnych. Była jeszcze tak wtedy małą, że ze skorupek orzechów włoskich robiła łódzie i po dywanie, który zastępował Ocean, posuwała je, marząc, że to krewni jadą do biednej sieroty emigrantki. Posyłała tak biednym emigrantom wyobrażenia dziecinna i inne jeszcze dobra: księży. W łupinę orzechową wsadzała kaznodzieję angikańskiego i katolickiego księdza, aby potem wyobrazić sobie ich przybycie do dalekiego ładu i wyszukiwania biednych rozproszonych wyznawców ich wiary, pociechy religijne, które im przynosili ze sobą. Myśli te i uczucia obudzone zostały w dziecku przez otoczenie, w którym zostawała, i sama to wyznaje: — „Pojęcia ta musiały niewątpliwie powstać we mnie w skutek postępowania ze mną matki mojej, pozwalającej mi przebywać w pokoju przy gościach. Było między nimi kil-

ku podróżników, ludzi umysłu wyższego; rozprawy toczyły się też nieraz o moralnym stanie wychodźców i kolonizatorów, o misjonarzach. O misjonarzach mówiono szczególnie szczerze.

— „Myśli podobne ustawicznie nawiedzały mój umysł, skoro już dorosła—dodaje następnie Mrs Chisholm, a mimowoli nasuwa się tu myśl o ogromnym znaczeniu tych wpływów pierwszych, które przez otoczenie uderzają umysł dziecka: grając na strunach rozwijających się uczuć i stanowiąc przez to o skierowaniu pierwszym tej moralnej istoty, która w dziecku najmłodszym już żyje. Że jest to często, częściej niż przypuszczamy, wyroczniam dla całej przyszłości popchnięciem człowieka, dowodzi przykład Mrs Chisholm. Że każdy duch ludzki posiada swoją indywidualność, że duchy te są wyższe lub niższe, to rzecz dla mnie niewątpliwa; ale wyrobienie tych duchów, ale kierunek nadany ich zdolnościom, rozwój ich i zabarwienie—koloryt, to sprawa wychowania i mimowoli nasuwa się pytanie: czem byłaby ta Angielka, która dla tysięcy kobiet innych stała się aniołem stróżem, gdyby matka, która pozwałała dziecku pozostać w salonie przy gościach, lubiła tylko towarzystwo lekkie i bezmyślne, gdyby to młode stworzenie, chwytające tak żywo i wczesnie myśli i pojęcia starszych, było słyszało głównie rozmowy o strojach, zabawach i elegancjach? Ta dusza szlachetna, lecz wtedy skrzywiona, poetyczna, idealna z natury, byłaby się niewątpliwie poniżyła zrazu, a potem kto wie, w jaki sposób wykoleiła z drogi swego przeznaczenia? Gdyby nawet uratowała ją wrodzona siła i własna jej godność wewnętrzna: to cóż niemniej? Jakim wzrokiem, smutnej liłości pełnym, byłaby spoglądała na swoje lata młode; jak musiałaby zdobywać się na pobłażanie żałosne dla tej matki lekkomyślnej, tonącej całą swą lichą istotą we fraszkach życia jedynie—dla matki, od której córka szlachetna nie dostalaby na drogę życia żadnych natchnień wyższych.

Zawsze to w takim razie strata ogromna, strata nieopisanego tego słodkiego uczucia, razem dumy i szczęścia, z którym wyraża się Mrs Chisholm pisząc:—„Wielką to dla mnie było korzyścią, że miałam matkę, której winna jestem energią mego charakteru....“

A dziwnie pięknie przejawia się tego energicznego charakteru czystość kryształowa. Dziewczę, rosnące wśród wzniosłych i poważnych myśli, ma jednak w piersi serce tliwie, kocha ludzkość, ale nie zdołało to ustrzedz jej od tego słodkiego czarunku, który wiąże ze sobą dwie istoty ludzkie na osobiste serca rozkosze i cierpienia: kocha, jest kochaną, ma należeć na życie całe do wybranego człowieka, lecz waha się, zali jej się godzi los jego z losem swoim zespalać i wyznaje mu, że mimo przywiązania do niego, czuje w sobie powołanie, które musi ją odrywać od obowiązków żony, odwozić od ogniska domowego. Ale ten, któremu mogło się oddać serce tak szlachetnej, musiał nie być niższym od niej, i miłość jego wzmogła się jeszcze po tem uczuściu, zaczęła jej wyznaniu. Połączyli się, ale ona nie potrzebuje zrzekać się swych ofiarniczych zamiarów, bo znajduje w mężu pomoc tylko i współnika w pracy. Był officerem w armii indyjskiej, i młoda małżonka zaczyna swe dzieło dobroczynne od zajęcia się losem córek angielskich żołnierzy w Indyach: zakłada dla nich szkołę przemysłową, która dotąd istnieje, wcielać obok tego w czyn marzenie lat swych młodych; rozciąga tkliwą opiekę nad emigrantkami, udającami się do Australii. W 1850 r. kapitan Chisholm puszcza się tam w ich interessie i to o własnym koszcie, a nie był to człowiek bogaty: podzielił skromny swój dochód na dwie połowy: jedną zostawił żonie, z drugą udał się w podróż. Raz drugi w 1858 r. odbyli ją oboje: Mrs Chisholm opisała z wymowną prostotą, jak za wylądowaniem znalazła kilkaset kobiet samotnych, bez opieki, szukających rozpacznie pracy, gdy tymczasem okręt za okrętem przywoził inne i otwierała się przed nieszczęśliwymi przepaść ciemna jak noc. Lecz odczegół była tam ona? Uduje się do zarządu kolonii i mimo, że spotkała się z wielką obojętnością i brakiem dobrych chęci, zdołała zdobyć sobie jeden z baraków, przeznaczonych dla emigrantów; tam zebrała razem biedne dziewczęta

i kobiety; przebywała z niemi, z niemi sypiała, choć nie był to pobyt przyjemny. Barak trząsł się w nocy od szczurów, ale to jeszcze niedogodność mało znacząca, wytrwała je, urządziła przyzwoite chwilowe schronienie dla swych protegowanych i zabrała się energicznie do założenia w mieście Bush biura stręczących służących, połączonego ze szkołą. Do Bush ściągala też od tej chwili przybywające emigrantki partyami, po sto, po sto pięćdziesiąt, i rozmieściwszy je w mieście, lub w okolicy, brała natychmiast w ich miejsce inne. Najczęściej musiała towarzyszyć sama tym gromadkom kobiet młodych, przebywającym kraj półdziki i rzadko zaludniony, pełen rozmaitego rodzaju niebezpieczeństw. I to pracowite, utrudzające życie trwało lat kilka; umieszcila w domach uczciwych kolonistów przeszło tysiąc kobiet—tysiąc istot biednych, bezbronnych wobec różnych doświadczeń losu, zostało zabezpieczonych przez nią od nieszczęść i nędz najcięższych, przyczem pomoc jej musiała być wieloraką. Często trzeba jej było dawać zaliczki na przyszłą pracę najbiedniejszych, pożyczać im sumki małe, lub zwracać zadatki pobrane, gdy warunki przyjętej służby okazały się nie takimi, jakich pragnęła dla klientek swoich. Przecież na pociechę tych, którzy chcą zachować wiarę w człowieka zbiorowego, M-rs Chisholm pisze, że po największej części uiszczano jej się uczciwie z długu i straty materyjalne z tego powodu nie przeniosły 20 fun. sterlingów.

Ale pobyt rodziny Chisholm był w Australii tylko chwilowym. Dzieciom, których Bóg dał kilkorok, nie służył klimat indyjski, więc udano się tam, gdzie szlachetna kobieta chciała spełniać miłosierne swe zadania, lecz po kilku latach powrót do Anglii okazał się potrzebnym, co jednak nie położyło kresu jej dobroczynnej działalności. Tak ją zorganizowała, że przy doskonałej znajomości miejscowych stosunków i ludzi mogła prowadzić ją z daleka, regulując na zasadzie prowadzonej korespondencji wysiłki emigrantek, aż czynność ta filantropijna dorosła do znaczenia zasługi obywatelskiej, a ta, która ją sobie pozyskała, potrafiła tak umiejętnie i pracowicie rozrządzać sobą i czasem swoim, że podołała wszystkim obowiązkom przyjętym i połączenie jej z człowiekiem ukochanym nie zatrulo mu życia zawodem.

Smiles wymienia dalej między kobietami walecznymi w enocie Gracyą Vernon Bussel z Zachodniej Australii, która przy rozbiciu się parowca *Georgette* uratowała w bohaterski i cudowny niemal sposób kobiety i dzieci znajdujące się w łodzi blizkiej zatonięcia. Na znak niebezpieczeństwa, dany przez ginący statek, przybyła ona na wybrzeże, pędząc w cwał na koniu, a niemając żadnej innej drogi ratunku, rzuciła się z koniem w spienione fale, dotarła do łodzi, usiłującej rozpacznie przybić do blizkiego już brzegu i wywiozła na ląd pięćdziesiąt osób, co przy silnem wzburzeniu morza było tak ciężką pracą, że trwała ona godzin cztery. Ostatni raz zawróciła się w fale, spostrzegłszy, że jedna jeszcze osoba walczy ze śmiercią, uczepliwszy się łodzi. Dokonawszy tego ostatniego czynu ludzkości, Gracya Vernon śmiertelnie zmęczona, popędziła jednak galopem do domu, odległego o dwanaście mil (angielskich) wzywając dalszego ratunku dla rozbitków. Wtedy zamężna jej siostra, Brookman, zastąpiła ją w czynności; zabrawszy ze sobą cukier, herbatę, chleb i mleko pośpieszyła do nieszczęśliwych, nakarmiła, opatrzyła, sprowadziła do swego domu, gdzie przecież mogli się dostać dopiero nazajutrz, lecz pozostawali podejmowani gościnnie aż do zupełnego wypoczynku. Zaciemnia się przecież żalobnie ten piękny obraz, gdyż M-rs Brookman, zaziębiwszy się nad brzegiem morskim, dostała gorączki i umarła.

(Dalszy ciąg nastąpi)

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Ściborzanka zamilkła smutnie, a po chwili spytała cicho:

— Jest tu?

— Tak... i miasto całe trzęsie, aby się o pani dowiedzieć—odparł Sitko.

Na twarzy Ludmiły widać było pomieszanie, smutek, może jakąś radość stłumioną; odwróciła w stronę oczy, długo nie mówić nie mogła.

— Panie Prosper—rzekła po namysle—wierzę że pan mi jesteś przyjacielem i że uczynisz to, o co proszę cię będę. Nie mów o mnie nic hr. Zygmuntowi.

— Pani go nie lubisz? pani go nie cenisz? — zapytał gorąco, chcąc stanąć w jego obronie Prosper.

— Owszem, szanuję go, miłym mi jest—lecz—pan powinien mnie zrozumieć—rzekła Ludmiła poważnie. Hr. Zygmunt młodym jest, przyjacielem młodzi świata się inaczej wydają i u świata zowią inaczej. Jest to dziedzic wielkiej fortuny i imienia. Jego życzliwość dla mnie musiałaby być źle tłómaczoną.

Rumieniła się, mówiąc to, Ludmiła. Prosper patrzył w ziemię.

— Możesz pani być pewną, że spełnię co mi rozkażesz—odezwał się—jestem jej sługą. Lecz niech mi pani zaprotestować pozwoli. Hr. Zygmunt tyle ma dla niej życzliwości, prawdziwie nie wiem jak to nazwać, posądzam go o... namiętne przywiązanie.

Ludmiła przerwała nagle:

— Tem gorzej—zawołała—to do niczego nie prowadzi; ale pan się mylisz.

— Nie myślę się—rzekł Sitko.—Widzi pani, pani mnie zna, ja jestem prosty człowiek, nie daleko widzący, ale są chwile i wypadki, że i ja czuję i widzę to, co się ukryć nie może. On się w pani kocha.

Ściborzanka nakazała mu milczenie prawie gniewnie.

— Ale nie mów—że mi pan o tem!

— Żebyś pani wiedziała wszystkie okoliczności—dodał Prosper—żebyś pani, jak ja, była świadkiem jego poszukiwań w Paryżu, jego radości gdy ja obraży jej znalazł u brokantera.

— I kupiliście je! — wykrzyknęła ze smutkiem Ludmiła.

— Hrabia byłby dał za nie wagę złota! — rzekł Prosper.

Artystka spuściła głowę; znowu jedno jej marzenie się rozwiało. Sądziła, że ją ktoś obcy ocenił jako artystkę; znalazła tylko litość dla biednej kobiety.

Nie powiedziała nic, serce się ścisnęło. Poczęła mówić chłodno, pocichu.

— Hrabia Zygmunt ma dobre serce, ma może współczucie dla mnie—ale innych sentymentów, o których pan mówi—mieć nie może. Jest to człowiek nadto szlachetny, aby postąpił tak, jak Apold—dodała—a wie, że rodzina i położenie...

Wtem przerwała nagle:

— Proszę pana, nie mów—że już nic podobnego, a ponawiam prośbę moją, abyś mu o mnie nie wspominał.

Sitko, zwykle najposłuszniejszy z ludzi, tym razem się oparł.

— Za pozwoleniem—rzekł—ale to się nie godzi. Nie chcesz mu pani dozwolić się zbliżyć do siebie, to od niej zależy; lecz, żeby biednemu człowiekowi; sprzyjającemu jej, dać się męczyć.

— Panu się przywiduje—gorąco poczęła Ludmiła. Przecież hrabia nie dla mnie tu bawi, ani dla mnie przyjechał. To imaginacja! Sni się to wam! rzecz jest niemożliwa.

— Jakże ja tu mam z panią dysputować? — mruknął Prosper.

— Mów mi pan o sobie, i dajmy temu pokój — nakazując przerwała Ściborzancka. — Zapewne jesteś na drodze do Rzymu.

Sitko się wykrzywił, poskrobał niezgrabnie, minę jakąś zrobił.

— Zemną to cała znowu historia — zaczął ze zwykłą sobie naiwnością. — Same cuda! Czy pani wie, że mnie wuj, kanonik, zapisał dwakroć-stoty-się-cy złotych!

— A! — zawołała radośnie Ludmiła.

— Gdy się o tem dowiedział — mówił Sitko — słowo daję, nie mogłem wytrzymać dnia i zaraz-em się wybrał do Paryża... aby jej służyć.

Ludmiła rozśmiała się wesoło.

— Cóż znowu! jaka mania pana napadła szukać mi sług i wielbieli we wszystkich. Jest to bardzo grzeczne, ale...

Sitko obie ręce w kufaki złożone do piersi przycisnął, twarz jego stała się poważną, oczy wywrócił do góry.

— Pani mnie znasz trochę — krzyknął — jak Boga kocham, zem tu przybył dla pani.

Ściborzancka spojrzała nań, rękę wyciągnęła — zamilkła.

— Możesz sobie pani wyobrazić — ciągnął Prosper — jaki to dla mnie dziś dzień szczęśliwy. Ja się jej naprzykrzać nie będę — ja wiem, jak daleko i nisko stoję — ale być jej sługą, jakie to dla mnie szczęście.

— Poczciwy, dobry mój przyjacielu — szepnęła Ludmiła. — Zawstydzasz mnie — czym ja tego warta!

— Pani! pani warta jesteś korony! — zakrzyknął Sitko w uniesieniu.

Ludmiła rozśmiać się musiała.

— Pana odpędzać i kryć się przed nim nie będę — rzekła — mam w nim ufność. Lecz jeszcze raz go proszę: ani słowa hr. Zygmuntowi; inaczej zmusisz mnie, abym gdzieś za świat znowu uciekla, a, przyznam ci się — byłoby to dla mnie, teraz, po tej chorobie, bardzo trudnem.

— Tak, po chorobie — zawołał Sitko — po chorobie! Dobrze to mówić! Pani jeszcze zdrową nie jesteś.

— Widzisz, przecie, że wyjść mogłam do ogrodu — mówiła Ściborzancka — a był czas gdy z wschodów znijsz i na moje piętra wdrapać się nie mogła.

Chodź pan zemną — dodała, wstając — przekonasz się że nawet już maluję. Wprawdzie ręka mi drży, odpoczywać muszę.

Mówiąc to, wstała blada, bo zmęczona samą rozmową, od której było odwykła, i chwilę musiała, sparta na parasoliku, stać, aby oddech odzyskać.

Sitko nie śmiał podać jej ręki, szedł za nią strwożony i szczęśliwy.

— Ale naprzód — zwróciła się ku niemu — słowo ze mnie nie zdradzisz.

Prosper podał rękę i skłonił się. Powoli przeszli część ogrodu, a Ludmiła, stając, odpoczywając, śmiejąc się i żartując, aby pokryć cierpienie, doprowadziła go do domu, w którym mieszkała.

Potem nastąpiły owe trzy piętra, które przebywszy, Ludmiła już słowa wymówić nie mogła. Sitko coraz bardziej się niepokoił. Znał ją tak żywą i silną, z taką lekkością wbiegającą na góry, nieznużoną niczem!

Pokoje, które zajmowała, uderzyły go tą nagością ubóstwa, która w Dreźnie czuć się nie dawała. W ciągu choroby i wprzód jeszcze Ludmiła pozbyła się wielu rzeczy. Zostały jej szkice, płótna, teki i szkatułka malarska przepyszna, bo pochodząca z tych czasów, gdy wszystko, co miała, pięknem było i drogiem.

Na stalugach stał poczęty krajobraz, znowu jeden z tych tematów domowych, z których artystka wyjść nie mogła. Była to chata wiejska, malownicza dosyć, ze swemi szopkami, kłeciami, studzienką, przyzbą, sprzętem wieśniacze składającym gospodarstwo. Niegdyś Ludmiła rysowała to z natury, wszystkie więc szczegóły nosiły na sobie cechę prawdy wielkiej. — Było coś dla tych, co podobnych chatek nie widzieli długo, w tym obrazku przemawiającego do duszy.

Kilkoro dzieci w koszulach, bosych, pies przy-

jacił, stadko gęsi — stanowiły całe żywe wyposażenie tego studium.

Sitko, stanawszy przed płótnem, podparłszy brodę na rękę, utonął w myślach i krzyknął uniesiony:

— Jak Boga kocham! czy ci Francuzi warci, żeby im takie malować rzeczy! Kto to z nich zrozumie i odczuje? oddać im tego szkoda.

— Szczególniej mnie żal będzie — westchnęła Ludmiła, ale wzięłam zadatek, kupiec, który zamówił, widział już obrazek poczęty, a potem!

— Hrabia Zygmunt — zaczął Sitko — ale zmarzona Ludmiła nakazała mu milczenie.

Z pobożnem jakimś poszanowaniem Sitko się rozglądał po mieszkaniu; był przejęty szczęściem, które go spotkało, i zakłopotany tem, że się niem z hrabią, do którego się przywiązał — podzielić nie mógł.

Ludmiła teraz powoli opowiadała mu o swem życiu, o wszystkich trudnościach rozpoczęcia zawodu artystycznego, któryby pracę mógł opłacić.

— Wiesz pan co — dodała — ze smutnego doświadczenia własnego radabym dać ci dobrą radę. Masz teraz trochę majątku, lep sobie dla zabawy figurki z wosku i gliny — ale, jeżeli nie masz siły męczennikiem zostać — nie oddawaj się sztuce.

Mnie też zdawało się — mówiła smutnie, że kapłaństwo sztuki nagrodzi wszystko, że rozkosze godzin tworzenia zapłacą za dni i lata bólów i męczarni; lecz gdy trzeba chleb robić ze sztuki, kapłan się przemienia w rzemieślnika, artysta — w parobka, sztuka ginie z oczu. Złoty posąg stopić potrzeba, aby z niego kilka groszy wybić...

Widzisz mnie rozczarowaną, znękaną, osłabłą.

Był czas, gdy rojąc o tworzeniu, musiała stare, brzydkie płótna podlepać i latać; lzy mi na nie spadały.

A gdy z głębi duszy dobędziesz słowo jakieś, dla ciebie zrozumiałe, jasne, przemawiające i stawisz je przed oczy inaczej usposobionych, widzących przez inne źrenice — i spotkasz szyderstwo lub obojętność....

Sitko potarł głowę.

— El — rzekł — co do mnie, niema kogo żałować, ani czego oszczędzać. Ja sam jeszcze nie wiem, co pocznę. Galeria Luwru strasznie mnie ostudziła. Czyż po tem, co ludzie już zrobili, jeszcze tworzyć warto? gdy ani się im dorównać spodziewa, ani co nowego ulepić. Tyle tylko, że człowiek by na to patrzył, patrzył i wdychał.

Obawiając się, ażeby nie być już natrętnym, Sitko zabierał się do wyjścia.

— Pani moja — rzekł — już mnąc kapelusze swój w rękę, a ja jeszcze z prośbą pokorną. Zlituj się pani nademną, nie czyni mnie kłamcą. Co ja mu powiem, gdy mnie hr. Zygmunt spyta?

— Nic — odpowiedziała, rumieniąc się Ludmiła.

— Nie mogę, bo mi go żal — rzekł Sitko. — Zresztą wszystko się to na nic nie zdało, słowo daję. On tak pilno panią śledzi po całym Paryżu, że w końcu odszuka.

— Naówczas — przerwała Ludmiła — ja ztąd będę musiała uchodzić.

Sitko w rękę ją pocałował, schylając się.

— Niech pani to zuchwalstwo daruję, że ja, taki dudek, z pozwoleniem, śmiem jej dawać radę. Ale czyż nie lepiej-by było przyjąć go.... no — i gdyby — gdyby przyszło do rozmowy, otwarcie mu powiedzieć. Jest to bardzo dobry, bardzo dobry człowiek.

— Zostaw pan to mnie — żywo ucieła rozprawę dalszą Ludmiła — pan niemasz prawa zdradzać tego, gdzie ja mieszkam. Ja nikogo nie przyjmuję... Wymówiła to surowo.

— Ale ja choć na dole mogę się dowiedzieć? — zapytał Sitko nieśmiało.

Ludmiła się uśmiechnęła, dała mu znak głową. Prosper wyszedł.

Prawie codziennie spotykał się on z hr. Zygmunt, do którego się równie przywiązał, jak on do niego. Wielka przestrzeń dzieliła tych dwu ludzi, zupełnie do siebie niepodobnych. Hr. Zygmunt był wykształcony trybem jaknajlepszym, metodą jaknajprawidłowszą, miał formy kółka do którego należał. Sitko wszystko winien był sobie, zbierał, co miał, potrosze, jak ci ubodzy, co się ze zżętego pola żywią zgubionemi kłosy, nie zgrabny był, nieobrotny, śmieszny. W obu nich je-

dnak było serce, a to zbliża i łączy. Prosper czuł niezmierną wyższość nad sobą hrabiego, ale go kochał, równie, jak szanował; Zygmunt nietylko serce w nim cenił, ale intelligencją, która chciała być wiedzy i otwartą na jej przyjęcie. Prostopadłość Sitki bawiła go i cieszyła.

Po tych ludziach gładko ociosanych, których spotykał ciągle, wszystkich, jak dwie wody krople podobnych do siebie, Prosper był dla niego wypoczynkiem i jakby orzeźwieniem. Był poprostu człowiekiem, nie lalką.

Sitko przychodził i wychodził, kiedy chciał, od hrabiego. Jak tylko towarzystwo się zbierało, wymykał się; gdy Zygmunt był sam, mówili poufale. Owe dwakroć stotysięcy i poczucie niezawisłości nadawało artyście więcej śmiałości i swobody niż dawniej.

Właśnie dnia tego hrabia go na obiad prosił do jednej z restauracyj na bulwarach, ażeby mu to życie tutejsze pokazać i wytłómaczyć, o którym Sitko nie miał pojęcia. Zejść się mieli około Magdaleny i razem potem obić.

O szóstej godzinie Prosper był na swem miejscu, z postanowieniem niezdradzenia Ludmiły, ale i niemęczenia hrabiego. Musiał zaczekać trochę na niego, gdyż Zygmunt, wracający z Lasku, spóźnił się na godzinę umówioną.

Sitko miał brzydką swą twarz tak rozjaśnioną i szczęśliwą, że przy pierwszym spotkaniu hrabia zawołał zdala:

— Co tam niesiesz dobrego?

— Wistocie, mam nowinę, ale.... rzekł Sitko — niezupełnie się nią mogę podzielić. Dałem słowo.

— Cóż to takiego? — spytał ciekawie Zygmunt.

— Widziałem pannę Ludmiłę — rzekł Prosper.

Hrabia rzucił się ku niemu.

— Jakim sposobem? gdzie?

— Jak zawsze, nie rozumem ale trafem, znalazłem ją w ogrodzie — mówił Sitko.

Zygmunt stał, czekając opowiadania; — Prosper wdychał.

— Musiała przechorować i przecierpieć okropnie — rzekł — zmieniona, zmęczona, prawdę powiedziawszy, jeszcze chora. Ledwie chodzi.

— Na Boga! teraz przecie coś radzić możemy — przerwał Zygmunt.

— Tak! tak! — odparł chmurnie Sitko — gdyby ona pozwoiliła! Nikogo widzieć nie chce, nikomu o swem mieszkaniu mówić nie dopuszcza....

Zygmunt się zmarszczył.

— Była mowa o mnie? — szepnęła.

— Mówiłem o hrabi — rzekł Sitko zakłopotany, spuszczaając oczy — ale — dla nikogo wyjątku.

Szli z wolna do restauracji; Zygmunt dumał i słuchał opowiadającego.

— Ponieważ ty jesteś szczęśliwszym od innych i p. Ludmiła ufa ci — rzekł — musisz sam czuwać nad nią. Ale pozwolisz mi, abym ja tobie pomagał i radził, a o wszystkim wiedział.

Gdy usiedli do stołu — dodał:

— Twojem zadaniem, panie Prosper, powinno być ją ztąd wyrwać. Cała ta atmosfera Paryża nie dla niej. Ona już być musi znudzona walką. Namawiaj ją do powrotu do kraju. U nas też przecie budzi się życie artystyczne. Powiedz jej, że jako powracająca z Dreznia i z Paryża, nieochybnie znajdzie zajęcie....

Przerwał sobie hr. Zygmunt nagle, i kładąc mu rękę na ramieniu — rzekł:

— Mój panie Prosper — staraj się o to, abym ja mógł z nią mówić. Będę ci wdzięczny wiecznie. Jeżeli nie pozwala, abym się z nią widział gdzieindziej, niech mi się da sobie choć pokłonić, choć spotkać — gdzie sama oznaczy — w ogrodzie na przechadzce.

Sitko jadł ze spuszczoną głową, mruknął tylko, że będzie się starał o to koniecznie.

I przez ciąg całego obiadu nie ustawały pytania o Ludmiłę.

Z dziennika: — „Najgłębsze mam przekonanie, iż nic na świecie trafem nie jest. To, co się nam nim wydaje, przez ślepotę naszą i ograniczoną władzę — zwiemy przypadkiem, bo nie możemy przypuścić takiego ustroju świata, w którym-by miliony sprężyn i kółek mogły być tak obrachowane, by w ciągu lat tysięcy żadne na dane skinienie nie

chybiło. Tak jest i z temi ludźmi milionami, co się rozchodzą, stykają, są dla siebie nagrodą, karą, męczarnią, rozkoszą: zbliża je traf, trafia rozłączanie — nie! Konieczność ich pędzi w godzinie przewidzianej, na miejsce naznaczone.

Ispełnia się co było w widokach Opatrzności: Boga, losu, prawa jakiegoś, nazwijcie to, jak chcecie.

Nie—trafu i przypadku niema, a w tem wszystkim jest sprawiedliwość najwyższa, choć dla nas często niepojęta.

Dlaczego właśnie teraz musiał ten pocziwy Sitko, zubożony, przybyć tu, aby mi dowiedzieć, że ludzkie serca kochać umieją, choć się im niczem za to nie płaci? Tak byłam znękaną, zmęczoną, wyczerpaną, tak mi było potrzeba pokrzepić się czemś czystem, dobrem.

I Zygmun jest tu — i on miał gonić za mną? Wieg jeszcze jedno serce? Takbym pragnęła okazać mu, że je ocenić umiem. Niewolno! Uboga, sterana, gdybym przez egoizm, dla siebie zbliżała się do niego, czyżby kto w świecie uwierzył, że nie rachowała na przywłaszczenie sobie tego skarbu? Potrzeba wyrzec się, a choćby uciekać.

Ten pocziwy Sitko — jak on gorąco go bronił, jak się te dwie dusze — tak różne — porozumiały i pokochały!

Przecież on mnie nie zdradzi. Ja sama lękam się zdradzić siebie. Chciałabym go zobaczyć zdaleka, chciałabym móżdż mu powiedzieć. Co? nie mam nic do powiedzenia. Nie mogę go szukać, po winnam uciekać — nie wiem czybym była panią siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYZKIE

Paryż, w Maju 1881 r.

Wyprawa tunetańska. — Gwałtowny początek a zbyt śpieszny koniec. — Wrażenia i następstwa. — Obojętność powszechna. — Straty literackie i polityczne. — Śmierć Dizraelego i Girardina. — Życiorys lorda Beaconsfielda. — Jego początki. — Lady Blessington i jej salon. — Hrabia d'Orsay. — Pierwsze plody literackie. — Po drodze na Wschód. — Powrót do ojczyzny i życie polityczne. — O'Connell i jego gwałtowne zajęcie z Dizraelem. Jego straszliwa filippika i odpowiedź Dizraelego. — Wejście do Izby Poselskiej. Bogate ożenienie się. Karyera polityczna i najwyższe godności. Zawód literacki i powodzenie niezmiernie. — Powierzchność w starości. — Mieszkanie w mieście i na wsi. — Śmierć i pogrzeb.

Kwiecień zgotował nam niespodziankę; było to prawdziwe *prima Aprilis*! Jak z pistoletu wystrzelił, spadła nagle na bruk wiadomość o potrzebie tunetańskiej. Cała ta sprawa daje dokładny wymiar, jakie tu są usposobienia ducha, nie mówię kraju, ale brukowej rzeszy, ale klas, tak zwanych *dyrygujących*, we względzie owego sławnego odwetu, z którym się tu każdy nosi, trzymając go w zanadrzu.

Powiadam, że ta płocha sprawa tunetańska — bo w gruncie jest to wierutna burda, do której szukano gwałtem powodu — powiadam, że ta sprawa daje miarę, do jakiego dziś stopnia podniosła się tu gorącość serc. Dzienniki oficjalne i nieoficjalne, organa opinii skrajnych i wstecznych, umiarkowani i zajadli, narobili takiej wrzawy, takiego hałasu, że zdawało się, jakbyśmy byli doprawdy po drugiej stronie Renu. Tymczasem chodziło tu o wytarganie za uszy — biednego, potulnego Krumira!

Przypomina to tytuł znanej komedii Shakespear'a: *Wiele hałasu o nic*! Szybki koniec wypraw, okoliczności, w jakich się wywiązał spór, nałożone warunki na zwyciężonego: wszystko to dowodzi, że, jak niegdyś w sprawie meksykańskiej, musi tu być jakieś matactwo, o którym przebąkivano nieśmiało w Izbie poselskiej nawet, ale które zczasem dopiero wyjdzie jak oliwa na wierzchu.

Telotrowstwa Krumirów, są to odwieczne zatargi na kresach, które się praktykują na całym świecie, tam, gdzie granice stykają się z ludem barbarzyńskim, albo żyjącym z łupieztwa, gdzie się rachunki kończą zwykle z fuzyą albo szabłą

w rękę. Nie było tu nic ani nowego, ani nadzwyczajnego, ale, jak mówiłem, dla rozmaitych powodów szukano zaczepki i przy pierwszej lepszej okoliczności skorzystano z okazji. Smutno jest jednak pomyśleć, że i Francya uległa wpływowi tego założenia, które sama opłacała tak gorzko: siła wyższa nad prawo.

Nateraz rzecz skończona, traktat podpisany, ale nie zawarty, bo są uproszeni i nieproszeni świadkowie, którzy przyłożenia herbowej pieczęci odmówili i również czekają okazyi. Tym sposobem formuje się ten rachunek nieskończony, *fracta pagina*, na którego białej połowce jakie się zapiszą cyfry, to sama dopiero przyszłość pokaże. Nasze więc, tak zwane postępowe czasy, to odgrzewane, odwieczne formułki: „Za zrabanego dąbka, ja ci wyrwę ząbka!“

Przecież, narobiwszy tak strasznego hałasu, sami Francuzi nie są radzi z tej sprawy, i jak pierwszy gardłowali, co wlało, tak teraz radziby, aby o tem jaknajmniej mówiono. Potrzeba znać się na całej tutejszej organizacji dziennikarskiej, aby zrozumieć: z jaką jednomyślnością, z jakim staraniem wywijają się dziś, wśród zawiązanej polemiki w zagranicznych dziennikach; jak wymijają wszelkie sporne punkta, jak nie rozumieją przymówek i jak udają głuchych i potulnych. Sam nawet minister spraw zagranicznych w poufnym liście do niemieckiej gazety „Deutsche Revue“ powiedział: „My jesteśmy wdzięczni Niemcom, za ich godne i spokojne zachowanie się w tej sprawie“. Nieprzyjaźni mu ludzie, warchoły, wyrzucają mu to wyrażenie; jest ono przecież najlepszym odbiciem tej kwestyi. Niemcy, zostawiając Francuzom wolność działania, oddali im wielką usługę, bo to wstrzymało w tej chwili wszelkie wybryki innych sąsiadów. Ale Niemcy, którzy nic nie robią bez wyrachowania i powodu, czy do prawdy zasługują na tyle wdzięczności, jak powiada p. Barthélemy-Saint Hilaire? to czas dopiero pokaże.

Sprawa więc w tej chwili skończona. Francuzi uganiają się jeszcze za Krumirami, po górach i lasach: kwestya temperamentu i potrzeby ruchu, ale to już niema żadnej tu wagi. Tutaj swoim zwyczajem, wysmiano się z wymyślonych wrogów Krumirów, i obdarzano tym przydomkiem hultai i rzezimieszków z przedmieścia, a w razie potrzeby, niegrzecznego naprzykład furmana, albo pijanego zamiatacza ulicy.

Gdyby więc Kwiecień tego roku, nadzwyczaj burzliwy i zimny, nie przyniósł nam nic innego, nad tę zawieruchę zabawną z afrykańskich brzegów, byłoby to pół biedy. Ale niestety! musimy zapisać na jego rachunek, ciężkie i wielkie straty — jakie poniosły, literatura, dziennikarstwo i polityka we Francyi i Anglii. Że nie wspomnę tylko ważniejszych, śmierć Dizraelego w Anglii i Emila Girardina we Francyi, stanowią pod wielu względami niepowrotne straty. Były to dwie osobistości współczesne, tak wybitne, tak znaczące, tak równie silne we swym wpływie, a tak różne w swoich dążnościach i w życiu, że kronikarz, chociaż w pobieżnych szkicach, obowiązany jest przechować ślad ich przejścia, przez scenę naszego czasu.

Lord Beaconsfield, niedawno jeszcze pierwszy minister angielski, urodził się, chociaż data nie jest dostatecznie sprawdzoną, 21 Grudnia 1805 roku, w Londynie, w domu przy ulicy Bloomsbury-square; imię jego ojca: Izaak d'Israeli, pokazuje dostatecznie jego pochodzenie z rodu izraelskiego. W rzeczy samej lord Beaconsfield w 12 dopiero roku życia został ochrzczony w protestanckim kościele Świętego Andrzeja Holbornskiego i otrzymał na chrzcie imię: Benjamin.

Izaak d'Israeli, ojciec jego, był to człowiek zamężny, literat nie bez pewnej wartości; ogłosił on w swoim czasie książkę, która miała wielką bardzo wziętość, pod tytułem: „Ciekawości literackie“ (*Curiosity of Literature*). Syn jego Benjamin występował więc na świat, szeroka ubita już przez rodzica droga; mając zaledwie lat dwadzieścia, odznaczał się już w salonach sławnej wówczas lady Blessington, gdzie się spotykał ze znanym dandysem hrabią d'Orsayem, z ks. Ludwikiem Napoleonem i panem de Mornym.

W owym czasie młody d'Israeli słynął ze swej piękności i wykwiutnego stroju.

Jeden z dziennikarzy i krytyków współczesnych, P. N. P. Winis, taki nam daje rysunek jego postaci: „Był wieczór u lady Blessington. Dizraeli który przyszedł przedemną, siedział we framudze okna otwartego na Hyde-Park, a złociste kwiaty, wyszywane na jego kamizelee, odbijały jaskrawo ostatnie promienie zachodzącego słońca. Trzewiki z patentowanej skórki, biała ze słoniowej kości laska, okręcona czarnym sznurkiem z kutasami, złote łańcuchy okręcone wokoło szyi i wiązane u kieszeni: pomimo panującego już zmroku w salonie, ścigały nań mimowolną uwagę... Dizraeli miał jedną z najpiękniejszych twarzy, jakie mi się zdarzyło widzieć. Pleć miał niezmierną bladoci, i gdyby nie siła jego poruszeń i potężna głosu, można go było poczytać za suchotnika. Oko jego jest czarne, jak cienie Erebu, i ma wyraz szyderstwa i złośliwości niewypowiedzianej. Usta jego, poruszane ciągle prawie pewnym nerwowym niecierpliwym ruchem, przybierają charakter dumnej prawie pogardy, jakby uśmiech jakiego Mefistofelesa, w chwili, kiedy rzuci jedno z tych słów ostrych, jak sztylet, co mu się często wydarza. Niezmierna obfitość włosów, czarnych jak węgiel, kręcących się, spada długimi sploty, po lewej stronie twarzy, aż na jego krawat bez kołnierzyka, gdy przeciwnie na prawej skroni, rozdzielone starannie, odrzucone są na tył głowy, z całą kokieteryą młodej kobiety i świecą kruczym połyskiem“.

Wszystkie pamiętniki współczesne odzywają się z zachwytem o jego czarnych włosach, o jego bladej twarzy, o jego głosie pełnym słodyczy, o jego aksamitnych frakach z białą atlasową podszewką, o jego pierścionkach, laskach i o jego rozumie i sprycie. W domu rodzicielskim Dizraeli nabrał upodobania do zawodu literackiego, a w salonach lady Blessington zrodziła się w nim żądza roli politycznej.

Nie mogę tu przemilczeć i niepoświęcić słów kilku tak często wspominanej lady Blessington. Wiadomo jest, że pani ta, która odegrywała w Londynie tak świetną rolę około 1830 roku, była córką irlandzkiego szlachcica, pijaka brutalnego i gołego jak świętego tureckiego, i że pierwsze lata jej młodości przeszły w nędznej mieścinie irlandzkiej.

Od pierwszej zaraz młodości, czując swoją wartość, przeświadczona o świetności swoich talentów, o swej niezrównanej piękności, młoda Irlandka cierpiała okrutnie, zmuszoną będąc żyć z ludźmi, którzy otaczali jej młodość.

Wczesnie nauczyła się rozumieć całą wartość dóbr, bo od dzieciństwa odebrała naukę: czem są ludzie zmuszeni ukrywać przed światem swą nędzę; a wychowana w zupełnej niezależności i swobodzie, wkrótce zyskała pewien smutny rozgłos, flirtując zuchwale z p.p. officerami garnizonu. To ją przygotowało doskonale do tego życia cyganery, które prowadziła później na tak wysoką skalę.

Niemając jeszcze pełna lat szesnastu, wyszła zażamą za kapitana, niejakego P. Farmera, ostatniego pijaka i awanturnika. Rozwiedziona z nim, powiadają, że czas jakiś była towarzyszką jednego ze swych dawnych wielbicieli. Po śmierci kapitana Farmera, przypadłej w 1817 r., wdowa we cztery miesiące potem weszła w powtórne śluby z hrabią Blessingtonem. Ten ostatni, zmarły w 1829 r., zostawił ją powtórnie wdową.

Ten ustęp, nie byłby kompletnym, gdybyśmy nie dodali słów kilka dotyczących drugiej osobistości, zajmującej znakomite miejsce w towarzystwie angielskiem owego czasu i w stosunkach lady Blessingtonowej i Dizraelego. Mówię tu o sławnym hrabi d'Orsay. Wiadomo, że był on ożeniony z córką hr. Blessingtona z pierwszego małżeństwa. Niewchodząc w powody, powiedzmy tutaj, że to małżeństwo nie było szczęśliwe. Po dwu latach wspólnego pożycia, w domu swego ojca, a później swej matki, młoda hrabina opuściła dom i męża, który aż do swej śmierci mieszkał razem z matką żony.

W 1830 r. lady Blessington i hrabia d'Orsay byli oboje w kwiecie wieku i wziętości. Hrabia, obdarzony od natury piękną twarzą, wspa-

niała postacią i wzrostem, uchodził za króla mody i dobrego smaku pomiędzy dandysami swojego czasu; rządził wszechwładnie w salonach londyńskich i stanowił prawa we względzie pokroju fraka i formy kapelusza całej młodzieży; był to *arbitr eleganterum* w całej rozciągłości tego wyrażenia. Zbudowany silnie, z żelaznem prawdziwie zdrowiem, starczył on wszelkim wymaganiom modnego życia i nigdy nie tracił dobrego humoru, wśród najprzykrzejszych okoliczności zmiennej fortuny. Ugrzeczniony i miły w obejściu się z ludźmi, posiadał przytem wielki sens i takt polityczny, i ci, którzy go znali zblizka bardzo, jak n. p. P. Dizraeli, utrzymywali zawsze, że oprócz zalet i talentów światowych, hr. d'Orsay posiadał umysł wykształcony i wyższą inteligencją.

Takie-to były stosunki towarzyskie i taka-to dziwna szkoła, w których się rozwinął i wykształcił przyszły pierwszy minister angielski! W 1826 r. wyszła na świat pierwsza książka Benjamin'a d'Izraela: „*Vivien Grey by B. Dizraeli*“. Od tej chwili przyszedł lord Beaconsfield, zmienił ortografią swojego nazwiska. *Vivien Grey* miała wielkie powodzenie w Anglii, gdzie wziętość literacka ma zupełnie różne formy od tych, jakie się praktykują gdzieindziej. Następne powieści tegoż autora, jakoto: *Coningsby*, *Sybil*, *Tancred*, *Lothair*, doznały niemniejszego powodzenia od pierwszej.

W 1831 roku wrócił D. właśnie z długiej podróży po Wschodzie, kiedy los miał otworzyć inne wcale drogi dla jego zdolności i dla jego przedsiębiorczego umysłu. Anglia wówczas nie zajmowała się wcale literaturą. Reforma wyborcza opanowała wszystkie umysły; na jej czele stał O'Connell, który w przyszłości miał być głównym współzawodnikiem politycznym, a nawet osobistym nieprzyjacielem, Dizraela. Jakkolwiekby, Dizraeli, po swoim powrocie do ojczyzny, bez najmniejszego wahania się wszedł na pole politycznych zapasów. Krzesło poselskie z Wycombe zawakowało w owej chwili, i Dizraeli, stanął przed wyborcami jako jeden z kandydatów partii liberalnej — upadł haniebnie. To pierwsze niepowodzenie nie zraziło go bynajmniej. Kilka razy jeszcze z kolei doznał podobnego losu, aż nakoniec w Lipcu 1837 roku wybrany został w Maidstone, jako kandydat partii ultra-konserwatywnej. 17 Grudnia tegoż roku, wygłosił w parlamencie pierwszą swą mowę — tak zwany w Anglii *Maiden-Speech*. Mowa ta, świetna, ale pełna gorzkich, dotkliwych przycinków, była odpowiedzią na mowę O'Connella, z którym Dizraeli był źle oddawna i z którym gorąco pragnął się zerwać na mównicy.

(Dokończenie nastąpi)

ODCZYTY PANA DYGASIŃSKIEGO

O METODZIE POGLĄDOWEJ.

II.

Powołując się na nasze sprawozdanie z pierwszych trzech prelekcji, umieszczonych w 18-ym N-rze „*Bluszczu*“, mamy zamiar pomówić tu o następnych sześciu, t. j. od IV-ej do IX włącznie.

Czwarta prelekcja, podobnie, jak trzy pierwsze, była jeszcze teoretycznej natury; prelegent przedstawiał w niej poglądy różnych pedagogów na zadanie i stanowisko nauki o rzeczach w planie szkolnym. Tutaj różne są zdania, a nawet sprzeczności. Naukę rzeczy niektórzy uważają za przedmiot nieoddzielny od nauki języka.

Jacotot jest twórcą metody tak zwanej analityczno-syntetycznej. Zastosował ją do nauczania elementarnego. Vogel łączy czytanie, pisanie, ćwiczenia poglądowe, śpiew. Kehr jest zdania, że nauka poglądowa nie jest dyscypliną, tylko zasadą. Prelegent sympatycznie wyraził się o Albercie Richtera, który łączy przedmiot ten z czytaniem i pisanem. Zaznaczył także pedagoga Zillera z Lipska, który za punkt wyjścia w naucza-

niu dzieci wziął bajki ludowe, jako najlepiej odpowiadające przewadze fantazji u dzieci; dobrał on dwanaście bajek w rodzaju znanej powszechnie bajki o bremieńskich muzykantach. To bajkopoglądowe nauczanie ma wpłynąć na wyrobienie etycznego sądu u dzieci, zainteresować je szczegółami rodziny, kraju i t. d. Z kolei rzeczy wypadło prelegentowi określić znaczenie i rozmiar, jaki sam nauce o rzeczach w planie szkolnym nadaje. Jeśliśmy dobrze zrozumieli, prelegent ćwiczenia poglądowe połączone z językiem, z historią, bibliją, rachunkami, rysunkiem, pisanem, chce mieć w klasie I-ej i II-ej t. j. u dzieci kończących mniej więcej dziesiąty rok życia i, jak zauważyliśmy w dalszych prelekcjach, wykłady jego obrachowane są na dzieci tego wieku i rozwinięcia. Z końcem drugiego roku nauki ćwiczenia poglądowe ustają jako przedmiot oddzielny, zostają tylko jako zasada, jako metoda poglądowa, przy pomocy której obznajamiamy ucznia z otoczeniem i zjawiskami, z bogactwami jego wiedzy, wychodząc z zasady najbliższej, swojskiej, ojczyznej; w następnych dwóch latach nauki przypadałyby kolej na krajoznawstwo, geografiją i dzieje krajowe, tudzież na nauki przyrodnicze.

Zwracając się do naszej praktyki nauczania, prelegent słusznie zaznaczył, że po większej części dzisiaj nauka rzeczy prowadzi się bez rzeczy; są to pogadanki, nauka wyrazowa; i rzeczywiście, pogadanek takich niebrak w naszej literaturze, poczynając od *Wiązania Helenki* Hofmanowej, zaczem idą *Rozmowy matki z Józją i ojca z synem* Jachowicza, a dalej: *Rozmowy matki z dziećmi* Krakowowej i *Wykład nauk* Żmichowskiej; do tej kategorii zaliczylibyśmy poniekąd „*Naukę o rzeczach*“ Jeskiego, ułożoną, jak wiadomo, podług „*Orbis pictus*“ Lauckharda, z którego to dzieła i obrazki przejęto. Tu także należą, w przeszłym roku wydane, *Pogadanki* panny Morawskiej niewolne od wielu błędów, o których się prelegent na jednym z następujących odczytów niekorzystnie wyraził.

Wszystkie te książki mają pewne swoje zalety, ale nie odpowiadają celowi, do jakiego przy nauce o rzeczach zmierzamy; książki powyższe mają cel materalny, wzbogacają słownik dzieci i wiedzę ich encyklopedyczną. Należy to już dziś do historii nauki poglądowej.

Czasy w nauczaniu dzieci encyklopedyi już minęły; dzisiaj postawiono sobie racjonalniejszy cel: formalny. W nauce o rzeczach, takiej, jak ją dziś pojmujemy, nie idzie o wykończenie kursu, o zao krąglenie wiedzy dzieci, o to bowiem troszczyć się ma ten, kto układa programmat nauk szkolnych; tutaj zaś idzie o wyrobienie władz umysłowych za pomocą spostrzegania, ku czemu służą rozmaite, ale nie wszystkie, przedmioty ze świata materalnego. Pogadanki gołosłowne tu nie wystarczą: potrzeba koniecznie okazów, środków do nauczania poglądowego. Karol Richter w głośniejszej swojej książce p. t.: „*Der Anschauungsunterricht in den Elementarklassen* (Lipsk 1869)“ wylicza jako środki: przedmioty w naturze, modele i obrazy, rysunek i wagę; p. Dygasiński nie różni się od Richtera. Zatrudno byłoby ciągle okazywać przedmioty lub prowadzić dzieci do nich: przy powtarzaniu zwłaszcza wielką oddają usługę obrazy; są też one najwięcej upowszechnionym środkiem. Tablice poglądowe (*Anschauungsbilder*) spotykamy dzisiaj już w każdym prawie naszym lepszym zakładzie naukowym, nie wyjmując ochronek niektórych; szkoda tylko, że są one z podpisami niemieckimi, że przedstawiają typy, obyczajne obce: jeśli nas nie stać jeszcze na wydanie polskich w zupełności tablic poglądowych, powinniśmy się postarać choć o kilka dodatkowych tablic, któreby najważniejsze typy, ubiory, czynności, przedmioty rodzinne, nam właściwe, przedstawiały. Za pierwsze tablice poglądowe w swoim rodzaju uważać potrzeba „*Orbis pictus*“ Komeńskiego, wydane w Norymberdze roku 1658. Po tablicach Bazedowa obecnie obok tablic Winkelmana, Wilkego, Reimera i Wilkego, Staube'go i innych, najwięcej rozpowszechniły się ściennie tablice poglądowe (*Wandtafeln*) Schreibera. Najkorzystniej wyraził się prelegent o tablicach Strübinga „*Sechs Bilder für den Anschauungs und Sprachunterricht*“ (wyd. w Ber-

linie). Karol Richter w książce powyżej cytowanej najkorzystniej się o tych tablicach wyraża, zaznaczając tylko, że cena 9 talarów za 6 tablic dla wielu szkół jest niedostępna.

Uczymy małe dzieci chodzić; wślad zatem powinniśmy je uczyć używać myśłów, bo tylko za ich pośrednictwem dzieła natury i dzieła człowieka przechodzą do naszej świadomości; bo tylko na tem, cośmy przez zmysły, do świadomości przyjęli, opręć się może nasze myślenie i dalsza praca ducha. Kto nie zna dobrze świata konkretnego, błakać się będzie w życiu i pomysłach swoich, jakby wczoraj spadł z księżycy na ziemię.

Druga część czwartego odczytu około tego punktu się obracała. Prelegent nawoływał do racjonalnego kształcenia, opartego przede wszystkim na spostrzeganiu przedmiotu, na oznaczeniu jego wielkości, ilości, miary i wagi, na rozdzielaniu go na części, oznaczaniu jego kształtu, barwy i własności. Tą tylko drogą człowiek zapoznaje się z naturą, z tą wielką księgą, ręką Boga ku nauce i zbudowaniu naszemu napisaną; tą tylko drogą wprawia się do obserwacji samodzielnej i sądów samodzielnych, wyrabia w sobie zmysł praktyczny, znajduje podstawę i wskazówki do zdobywania wiedzy. W tym duchu prelegent wymownie przemawiał i godzimy się z nim najzupełniej, bo nie rozumiemy, na jakichby innych podstawach można opręć początkowe nauczanie, zastrzegając, że nie identyfikujemy go w tem miejscu z wychowaniem i moralnością dzieci. Dalej prelegent zaznaczył, że ogół nasz nie pojmuje poważnie wychowania dzieci, starając się tylko o powierzchowność, pstrocinę, błyskotki, ucząc dzieci przedewszystkiem paplać obcymi językami, grać, śpiewać, tańczyć, odlewając przez to na dalekie czasy własną pomyślność. Ten zarzut nie tylko polskim jest grzechem, bo przecież i Spencer swoje „*Wychowanie*“ zaczyna od ostrej krytyki teraźniejszego programmatu edukacji, w którym przekłada się rzeczy ozdoby, kosztem rzeczy pożytku i konieczności; tak dzieci, dostając od Europejczyków ubranie, używają go od parady, ale nie od skwaru, lub słoty. Jak obecnie, zarzut szanownego prelegenta wymaga pewnego zastrzeżenia; ogół nasz inteligentniejszy zrozumiał ważność początkowego kształcenia i, o ile na to środki i pewne towarzyskie przesady pozwalają, szuka fachowych kierowników czy kierowniczek dla swych dzieci. Poszukiwanie nauczycieli i nauczycielek z zawodu jest dziś bardzo znaczne; życzyliby tylko należało, aby kierunek ten objawiał się w stosunku rosnącym, co znowu zależy od liczby osób należycie przygotowanych do podobnej pracy.

Wychodząc z prelekcji, przebiegliśmy myślą cztery dotychczasowe odczyty i znaleźliśmy w nich wiele treści naukowej i pouczającej, wiele ustępów barwnych i przekonywających; całość jednak, czy to skutkiem natury przedmiotu, czy też skutkiem powtarzania się autora w niektórych miejscach, nie przedstawiła nam się organicznie i dosadnie. Sąd nasz może być wszakże tu zawczesny, gdyż rzeczy takie dadzą się ocenić ostatecznie po wydrukowaniu. *Verba volant*.

* * *

Następne wykłady poświęcono lekcjom wzorowym, czyli, jak je autor nazwał, przykładowym. W piątej prelekcji zawierały się dwie lekcje: a) *O krowie*, b) *O nietoperzu*, w szóstej także dwie: a) *O motyłu białym (kapustniku)*, b) *O musze*, w siódmej również dwie: a) *O życie*, b) *O jabłku*, w ósmej trzy: a) *O soli*, b) *O sianie*, c) *O ogniu*; dziewiąta mówiła bardzo obszernie *O częściach ciała człowieka*. Co się tyczy tej ostatniej, jest ona jedną z najlepszych, bo też i przedmiot sam nadaje się ku temu; opracowywano go niejednokrotnie. Znamy wyborną monografią w tej materii, składającą się z kilkunastu lekcji poglądowych, na trzy stopnie podzielonych: *Premières notions sur le corps humain par M-lle Gatti de Gamond* (Bruxella 1872). Nie będziemy tutaj w szczegółach powtarzać całego materalu; zatrzymamy się nad jedną prelekcją.

Lekcja o życie. Nauczyciel przynosi do klasy okazy zboża razem ze słomą i z korzeniami, po-

kazuje kłos żyta w różnicy od pszenicy, jęczmie-
nia, owsa, zaznaczając, że owies nie ma kłosa,
tylko wiechę; zatrzymuje w ręku żyto, odróżnia
części jego składowe: kłos, źdźbło (słoma) liście, ko-
rzenie; zajmuje się teraz szczegółowiej kłosem,
pokazuje plewy i ziarno, porównywa z innymi ziarnami,
pokazuje na rysunku (a lepiej było na
okazie) jak powstało z kwiatu, odróżnia w kwie-
cie pręciki i słupki. Mały kwiat rośliny trawia-
stej nie zdaje nam się przydatnym do podobnej
obserwacji; zdawałoby nam się rzeczą najwła-
ściwszą na osobnej lekcji wyłożyć o częściach
kwiatu, biorąc za okazy kwiaty najczęściej spo-
tykane. Teraz znowu zajmuje się już szczegóło-
wiej ziarnem, kolorem, ciężkością, porównywa je
z innymi ziarnami. W podobny sposób zwraca
uwagę na liście, ich kształt, części, powierzchnię,
układ żyłek (unerwienie), brzeg liścia, czyli rą-
bek. Zwraca uwagę na źdźbło, na jego kształt
walcowaty, postawę prostą, pionową, powier-
chnię gładką, wysokość, do 4 stóp wynoszącą.

Nauczyciel powinien starać się unikać nadmia-
ru materiału na jednej lekcji; powinien dobrze
obmyślić, jak ją zaokrąglić, jak streścić, jak ująć
w pytania i w odpowiednie części, jak stopniować
pojęcia, jak podporządkować szczegóły, jak usta-
lać pojęcia jednostkowe, gatunkowe, rodzajowe.
Lekcja n. p. o życie nie da się od razu wyłożyć;
trzeba z niej utworzyć kilka interesujących wy-
kładów, zanim się dojdzie do pojęcia zboża, rośliny
trawistej. Prelegent zastanowił się bliżej
nad jednym tytułem takiej lekcji: *użyteczność ży-
ta*. Wykład możnaby tu zacząć od obrazu żni-
wa, ale to należy do innego szeregu lekcji: zaję-
cia rolnika. Tutaj najlepiej rozpocząć od ozna-
czenia czasu, w którym żniwo się rozpoczyna; na-
turalnie, że tu przedewszystkiem występuje znowu
obserwacja: czy zboże już dojrzałe, czy ziarno
dosyć twarde; tylko bowiem twarde ziarno daje
się zmielić na mąkę; trzeba dzieciom przedstawić
ziarno w przecięciu, rozgnieść je, rozłup i poka-
zać jak prosiak t. j. mąka z niego powstaje, jak się
oddziela ją otrąbę. Tu znowu stykamy się z me-
chanizmem młyna, nad czem nie można się rozwo-
dzić, zostawując to do osobnej lekcji; jeżeli byśmy
bowiem chcieli wszystko dzieciom po drodze tłu-
maczyć, odbieglibyśmy od założenia, a wykład
nasz straciłby umiety charakter. Trzeba mieć
okazy maki w rurkach, pokazać dzieciom ciasto
i wyliczyć pożytki z maki i ciasta, jako główne; nie
wylącza to pożytku z plew i otrąb, a zwłaszcza
różnorodnych pożytków ze słomy, w wyliczeniu
których, dzieci nauczycielowi żywo pomagają. Po
lekcji nauczyciel streszcza wykład, stawia pyta-
nie, i tu się dopiero pokaże, oile jego wykład był
dobrze pomyślany; wszelkie bowiem zboczenia,
gawędy niepotrzebne, odpasć tu muszą, jako nie
łączące się organicznie z całością.

Lekcja o jabłku. Prelegent radzi zacząć ją od
wierszyka Jachowicza: „Franus miał śli zne ja-
bluszko czerwone“; po przeczytaniu którego
dzieci powinny treść opowiedzieć. Nie powinniśmy
tu z góry mówić, że jabłko jest owocem; podda-
jemy jabłko pod obserwację dzieci: określają one
jego kolor kształt, powierzchnię, części, przypa-
trują się z ramieniu, które na przeciwnym końcu
ogonka się znajduje, jako pozostałość części kwia-
tu jabłoni, z którego całe jabłko powstało. Tu
trzeba zapytać dzieci: czy widziały zawiązki
owocowe, pokazać je im w naturze lub na rysunku,
jak owoc z kwiatu powstaje i kolejno wzrasta.
Teraz krajemy jabłko, odróżniamy skórkę od sa-
mego jabłka (nie byłoby w tym miejscu za
wyrazem *mięso jabłka*) odróżniamy w środku ziarn-
ka, które są właśnie nasieniem jabłoni. W wielu
razach zachodzi trudność w terminologii: niektó-
re wyrazy inne mają znaczenie w mowie potocz-
nej, a inne w nauce; tutaj n. p. prelegent nazwał
ziarnka owocem, zaznaczając, że mięso jabłka nie
jest owocem, a tylko jego okryciem. W tym ra-
zie nawet zbyt duża sprzeczność z wyrazami po-
tocznymi, gdyż i w naukowym rozumieniu całe
jabłko jest owocem składającym się z nasiennika
(pericarpium) i nasienia (semen), które to nasienie
stanowią ziarnka. Ile razy wypadnie sprzeczność
pomiędzy wyrazami potocznymi a terminami nau-
kowymi, radzilibyśmy odłożyć to na później, kiedy
dzieci ostąpią w nauce języka, pojmą rozmaite zna-

czenia jednego wyrazu, a zwłaszcza znaczenia ści-
ślejsze i ogólniejsze. Wcale to nie znaczy, aby-
śmy pozwalali na fałszywe, niezgodne z nauką
objaśnienie rzeczy, ale idzie nam tylko o pominię-
cie, o zręczne obejście tego, co może pomieszać
pojęcia dzieci, jako wręcz przeciwnie z tem, co im
dotąd z użycia potocznego dobrze jest znane.

Od znamienia jabłka łatwe cofnięcie się do
kwiatu; opisuje się kwiat jabłoni, jego kolor, płat-
ki, pręciki, słupki, ztąd cofamy się do pączka
kwiatowego, który odróżniamy od pączka liścio-
wego; przechodzimy do liścia, jego części, (ogo-
nek, blaszka, w której znowu odróżniamy podsta-
wę, wierzchołek, brzegi blaszki). Przechodzimy
do gałązek, gałęzi, konarów, pnia, korzeni, za-
stanawiając się pokrótce nad wszystkimi temi
częściami.

Drogi, jakimi się postępuje w tych dwóch
lekcjach, są wręcz sobie przeciwne: tam zaczęli-
śmy o i całej rośliny, a doszliśmy do jej owocu, do
ziarna; tutaj, przeciwnie, zaczęliśmy od jabłka,
a doszliśmy do jabłoni. Stopniowanie takie przed-
miotów, a następnie porównywanie ich podobieństw
i różnic stanowi ważny bardzo i korzystny ma-
teriał dla dzieci pod względem myślowym. Pre-
legent słusznie duży nacisk na to położył. Po-
dobne zestawienia i porównania znajdujemy
w ostatnim rozdziale „Nauki o rzeczach“ Hen.
Wernica (Warszawa 1874). Znajdujemy je także
w „Pierwszem praktycznym poznamieniu się ze
światem zwierzęcym“ ułożonem podług Lüben-
a (Warszawa 1874), a także w „Przewodniku
w praktycznej nauce stylu“ ułożonem podług
Mezlera przez Bugno (Rzeszów, 2-ie wyd. 1879).

Prelegent stara się ubarwić swoje wykłady;
dość szczęśliwie trzyma się środka pomiędzy
dziećmi słuchającymi niby, a publicznością; nie
pomija obrazów poetycznych, budząc zamiłowa-
nie natury. Nie hołduje przytem schematyzmowi
niemieckiemu, owszem stara się lekcyę urozmai-
cać, zaczynając i przeprowadzając je na różne
sposoby. Lekcyę te jednak odpowiadają, jak to
wyżej zaznaczyliśmy, dzieciom mniej więcej lat
10-ciu; są to właściwie pogładowe monografie
przedmiotów, coś w rodzaju głosnych popular-
nych odczytów angielskich o przedmiotach
z nauk przyrodzonych, jakich próbkę mamy
w książeczce Anny Carey (kawałek węgla, ziarno
solu, kropla wody i t. p. (w przekładzie Dzie-
duszyckiej. Warsz. 1877). Zdaje nam się, że
pożądania byłyby, jak na teraz, informacja dla
matek i nauczycielek, jak mają uczyć młodsze
dzieci, t. j. nauka o rzeczach ale na najniższym
swym stopniu; niechby choć z tego praktycznego
wzglądu, że najwięcej zachodzi kłopotu w wy-
nalezieniu odpowiedniego zajęcia dla dzieci, któ-
re jeszcze nauki szkolnej nie rozpoczęły. Za-
chodzi przytem trudność w poprowadzeniu ta-
kich lekcji, gdyż sądzimy, że bez dokładnej zna-
jomości nauk przyrodzonych wywiązać się nale-
życie z zadania nie można. Są wprawdzie bo-
gate w materiał podręczniki, jak: Harder: „Theo-
ret. pract. Handbuch für der Anschauungsunter-
richt. 6 Aufl. (str. 258)“. Marie Pape-Carpantier:
„Manuel de l'instituteur, comprenant le developpe-
ment des principes pedagogiques et le guide pra-
tique i t. p. (parę części)“. Jest na dziesiątki
wiele innych podręczników; 1) wszystkie one nie
ustrzegą niespecjalisty od błędów choćby w sa-
mej terminologii; dlatego też kto chce być do-
brym nauczycielem początkowym, radzimy mu
przedewszystkiem studiować nauki przyrodzo-
ne, jak to: już kilka nauczycielek w Warszawie
uczyniło. Wykład przygotowany z książki nie za-
wsze dobrze wyjdzie w rzeczywistości.

Nie możemy tu sądzić kompetencji szanownego

1) Między innymi zalecał także prelegent następujące podrę-
czniki:

Vogel: Des Kindes erstes Schulbuch; Rein, Pickel und Schel-
ler: Das erste Schuljahr, tudzież Das zweite Schuljahr.

Zalecał także podręcznik angielskiej autorki p. Youmans;
szkoda, że pominął podręcznik angielskiej autorki p. Mayo,
z którego niektóre nauczycielki warszawskie korzystają; ma on
tę zaletę, że wykład dzieli się na kilka stopni: najprzód obser-
wują się kształty i cechy pojedynczych przedmiotów, potem usta-
lają się pojęcia o nich, następnie porównywa się te przedmioty,
wreszcie dochodzi się do pojedynczych monografii.

(Przyp. Autora.)

prelegenta w naukach przyrodzonych; następczą
się jednak pewne uwagi, które poczytujemy sobie
za obowiązek poczynić. Nie zdają nam się n. p.
odpowiednimi owe jajka, gąsienice i poczwarki
muchy, zalecane przez prelegenta, których tru-
dno szukać w naturze „w bliskości obory“. Proponowane używanie mikroskopu, jeżeli nie ma
być sztuczką zaciekawiającą, jest zawczesne;
szkło powiększające i lupa aż nadto tu wy-
starczą; 16,000 części powierzchni oka motyla,
4,000 sześciennych płaszczyzn w oku muchy nie
zostały ściśle wyliczone przez naukę i działać mo-
gą więcej na fantazję niż na zmysł spostrze-
gawczy dzieci; prelegent przytem używa niekiedy
mało u nas utartej lub niewłaściwej terminologii
jak n. p. usta muchy, ssawka zam. trąbka ssąca,
(smoczek) kałdun zam. odwłok; wyraz pępek
mający oznaczać w jabłku zagłębienie, z którego
ogonek wychodzi, mógłby być śmiało pominiętym.

Pozostają jeszcze trzy prelekcyje, zapowiedziane
na 12, 19 i 26 Czerwca. Będą one przedmiotem
trzeciego naszego sprawozdania o ważnym tym
przedmiocie, którym się jednak słabo ogół nasz
zainteresował.

Władysław Nowicki.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Maju 1881 r.

(Dokończenie).

Studia skandynawskie hr. Wawrzyńca Engeströma obdarzyły nas kilku odczytami w ciągu
ubiegłej zimy. W dwóch pierwszych dał on po-
gląd na Sagi Islandzkie, zaznaczające wiek XIV
jako koniec dziejowego rozwoju Islandyi i jej lite-
ratury. Odtąd przemaga język duński, życie umy-
słowe skupia się w Kopenhadze. Norwegia bar-
dziej jeszcze od Islandyi ulega nowym wpływom
i prądom, i dopiero w bieżącym stuleciu, otrzy-
mawszy własną wszechność, zwraca się do staro-
dawnych pomników i nanowo zaczyna dawny pie-
legnować język. Islandya snadź więcej miała
w sobie zasobów rodzimej a niepodległej żywotno-
ści. Mimo Duńczyków przewagi, umiała zachować
nieskazitelną mowę staropółnocną, zwaną
Norrena. A w XVII już wieku zbudziło się tam
ponownie zamiłowanie rzeczy ojczystych i zakwi-
tła nowa literatura islandzka. Czcigodny prele-
gent w swym trzecim odczycie zapoznał słucha-
czy z owym późniejszym rozkwitem myśli i pi-
siennictwa, na ustronnej Oceanu wyspie, wyda-
jącej z kolei drugie już żniwo. Szereg niepośle-
dnie nazwisk, pieśni i pracy, wypełnił ten pogląd
na literaturę islandzką, poczynając od zaprowa-
dzenia tamże druku, przez katolickiego bi-
skupa Jona Strasona, dzielnego szermierza wiary
i oświaty, a kończąc na Jonie Sigurdsonie, dwoja-
ko słynnym: na polu naukowem z znakomitych za-
sług, w dziedzinie polityki, zdobyciem dla Islan-
dyi odrębnej konstytucyi od 1871 r. Trzy odczy-
ty hr. Wawrzyńca Engeströma złożyły się w na-
der zajmującą całość, która nie chybiła celu, bo
nas zaznajomiła z duchem i charakterem mało
znanego a wytrwałego północnego ludu. Przy-
słuchując się tak ciekawej rozprawie, główne po-
wagi uczonego grona zachęcały prelegenta, aby
przy swej znajomości skandynawskich literatur
i języków, oraz wielkiej rymotwórczej łatwości,
zechciał mówić ojczystej przyswajać rapsody
skaldów północnych i tejsagi pełne poezyi, siły
i wdzięku, których fragmentami przeplatał swe
barwne odczyty.

W ruchu literackim panuje u nas obecnie pe-
wien zastój, niepozwalający nam żadnych cie-
kawych witać nowości. Chyba razporaz z łam-
mów prasy peryodycznej wypadnie jaki szmermel,
który przelotnie ożywi tę ciszę. Ogólnym dziś
na świecie prądem, ciekawsze nierównie bywają
odgrzebane szczątki pisanej myśli mężów, co zpo-
śród nas zniknęły, aniżeli potoczny bieg codziennej
dziennikarskiej fali. I tak np. *Kurier Poznański*,

darzący nas często podobnemi niespodziankami, podał swym czytelnikom nadzwyczaj ciekawe fragmenta korespondencji margrabiego Alexandra Wielopolskiego. Nie powiedziano: do kogo były pisane owe listy, ale tok ich serdeczny, poufny, domyslać się każe, iż otrzymujący tak wierne odzwierciedlenie myśli i zajęć margrabiego był mu bardzo drogim i bliskim powiernikiem i przyjacielem. Urywki te, odnoszące się do 1847 i 48 roku, wtajemniczają nas w sposób życia tego niezwykłego umysłu, który w dojrzałych będąc już latach, nie przestawał się kształcić i zaprawiać na najlepszych wzorach. W rozkładzie godzin ściśle przestrzegany upatruje margrabia zdrowie ciała i ducha. Przerzucony przez obowiązek wychowywania synów z rodzinnego zagonu na bruk wrocławski, korzysta z pobytu w mieście uniwersyteckiem, aby odnowić swój zapas klasycznej nauki. Czyta autorów łacińskich i greckich, pracuje w bibliotece wszechnicy, czuwa nad umiejętnem kierowaniem nauk swych dzieci. Jaką wagę przywiązuje do studiów humanistycznych, dziś popadających w dość ogólną u powierzchownych ludzi niełaskę, poznajemy z tych listów. Powiada na jednym miejscu, wyliczywszy godziny poświęcone przezeń w dniu każdym badaniom ducha Starożytności: — „Przywiązuję się coraz bardziej do tej gałęzi nauki, i coraz bardziej też dbam dla dzieci moich o klasyczne wykształcenie. W tej-to jedynie wielkiej szkole ludzie nabrac mogą pewnego spokoju, i w samej-że wzniosłości zachować jasność, precyzję i prostotę, a przekonany jestem, iż to, co bywa niedowarzonego i rozproszonego w ludziach, którzy do szkół publicznych nie uczęszczali, pochodzi ztąd, iż pozostali obcymi Starożytności, że nie mogli rozwinąć się i ustalić gruntownie wśród chaosu naszych nowoczesnych powikłanych stosunków“. Głębsze umysły zwykły się spotykać w zdaniach i pojęciach. Świeża książka, która w tak dodatnim świetle ukazała nam Guizota, podobnie świadczy o wysokiem znaczeniu, jakie ten głęboki umysł przywiązywał do klasycznego wykształcenia. Ztemi poważnemi studiami Starożytności margrabia Wielopolski łączył inne, podnioslejsze, czytanie. Codziennie, rano i wieczorem, jak pisze, karmił, swą duszę Pismem Świętem, z upodobaniem odczytując Ewangelię św. Jana i listy św. Pawła, w Wulgacie lub w greckim przekładzie. Ciężko mu z tych pogodnych wyżyn zstępować na niziny rozterki ludzkiej, a jednak nie zaniedbuje polityki, przegląda dzienniki, po ich przeczytaniu nastroja się pokojem poezji polskiej czy angielskiej, lub znów łacińskiej i greckiej. Podejmując dłuższą pracę, którą wydać zamierza, nie szczędzi studiów przygotowawczych, gromadzi skrzętnie materiały; wkońcu, zanim pochwyty za pióro i myśl przeleje w gotową już formę, bierze, jak sam powiada, kąpiel stylistyki, odczytując wymowne słowa wielkich prozaików i mówców. Wśród książek stanowiących najczęstszy pokarm tego dzielnego umysłu, kilkakrotnie wspomnianemi bywają pisma Saint-Martin'a. Niespodzianka to prawdziwa: spotkać dzieła francuzkiego iluministy na stole trzeźwego i spokojnego męża stanu! Ale snadź ów mistyk z XVIII wieku szczególnie wpływ musi wywierać na polskie umysły, skoro dwie, tak potężne inteligencje naszej epoki: Mickiewicz i Wielopolski, zarówno się doń zwracają.

Tożsamo czasopismo wydaje obecnie dłuższą a nader ciekawą pracę z pozostałości piśmienniczej po śp. Romanie Zmorskim: *O serbskich Łużyczach*. Zbudzenie się myśli pobratymstwa słowiańskiego z przeróżnemi odnogami olbrzymiego szczepu we wszystkich naraz objawia się kierunkach. Obecnie dzielnica nasza gorliwie się krząta około wspólnej pielgrzymki do grobów śś. apo-

stołów Cyrylla i Metodego, która na dniu 5 Lipca stanąć ma w Rzymie.

Nakładem Biblioteki Kórnickiej wyszło świeżo historycznie opracowane życie tych apostołów Słowiańszczyzny, pióra Leonarda Rettla. Podobną pracę X. Dra Gromnickiego wydała Krakowska Akademia Umiejętności.

A kiedy już wstąpiliśmy w dziedzinę hagiografii, wspomnijmy, że błogosławiona wielkopolska księżna Jolenta pobudza kilku naraz pisarzy do wysnuwania ze starych kronik dziejów jej świą-

tobliwego a pełnego miłosiernych w naszej dzielnicy czynów żywota.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się półlarkusz 16-ty powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz dokończenie powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

NIEKTÓRE WYDAWNICTWA

MICHAŁA GLÜCKSBERGA

w Warszawie, ulica Nowy-Świat Nr 55.

Znakomitsze utwory literatury nowoczesnej:

1. **Laboulaye Ed.**, *Historja Stanów Zjednoczonych*, w 4-ch tomach, rs. 5.
 2. **Vambéry**, *Islam w XIX stuleciu*, przekład Wł. Bogusławskiego, kop. 80.
 3. **Macaulay, Tomasz Babington**, *Szkice historyczne* (Barère, Mirabeau, Fryderyk Wielki, Macchiavelli), przekład Jana Karłowicza, rs. 1 kop. 20.
 4. **Simon Julj.** *Obowiązek*, przekład Kazimierza Kaszewskiego, rs. 1 kop. 20.
 5. **Carrière Maur.**, *Sztuka i literatura w XVIII i XIX wieku*. (Epoka rozwoju ducha i ideały ludzkości), 2 tomy, rs. 3.
 6. **Reich Dr. Edw.**, *Studia nad kobietą*, przekład St. Kramsztyka, rs. 1 kop. 80.
 7. **Ribot T.**, *Współczesna psychologia pozytywna w Anglii*. (Mill, Spencer, Lewes etc.), przekład J. Ochorowicza, rs. 1 kop. 20.
 8. **Agassiz L.**, *Plan stworzenia*, z 50 drzeworytami, przekład K. Jurkiewicza, kop. 90.
- Wszystkie 8 dzieł razem tylko rub. rs. 9, z przesyłką rub. rs. 10.
W oprowie rs. 15, z przesyłką rs. 16

KSIEGA WYNAŁAZKÓW

PRZEMYSŁU I RĘKODZIEŁ

Całość składa się z trzech tomów, a mianowicie:

- Tom I-szy **Historyczny rozwój ludzkości i środki oświaty**, Warszawa, 1874 r.
Tom II-gi **Chemia życia codziennego**, podług najnowszych źródeł, opracował T. Skomorowski, Warszawa, 1875 r.
Tom III-ci **Cuda przemysłu**, opisanie ważniejszych wytworów nowoczesnego przemysłu, podług cenniejszych autorów francuzkich i niemieckich, Warszawa, 1880 r.

Dzieło ozdobione licznymi drzeworytami w texcie.

Nabywający całość, płaci za wszystkie trzy tomy tylko 5 rs. W oprowie w płótno angielskie 7 rs.

Tomy II i III można nabyć osobno po 2 rs.

GALERIE WŁOSKIE

143 cenniejszych obrazów i rzeźb, znajdujących się w galeryach:

w Rzymie, Florencyi, Neapolu, Medyolanie i t. d.

w kopiach na stali

w 3 tomach

W oprowie w płótno angielskie, rs. 25.

„ w skórę kozłową, rs. 28.

102 Tomy powieści

Najznakomitszego naszego pisarza

J. I. KRASZEWSKIEGO

za rub. sr. 27, z przesyłką rub. rs. 30

(Spis szczegółowy na żądanie nadsyła się).

36 Tomów za rsr. 5 k. 40

Powieści, Pamiętników, Podróży i utworów dramatycznych

(wydane w 1876 i 1877 roku)

z przesyłką rubli srebrem 6 kopiejek 40.

Najnowsze powieści i utwory dramatyczne:

Asnyk A. (El....y), *Przyjaciele Hioba*, komedia w 2-ch aktach, kop. 60.

Jeske-Choiński, *Za winy ojców*, powieść, Warszawa, 1881 r., 1 rs.

Kraszewski J. I., *Lublana*, 2 tomy rs. 1 kop. 80.

— *Sąsiedzi*, powieść z podań słacheckich XVIII wieku, 2 tomy, rs. 1 kop. 80.

Wiśniowski Syg., *Świąteczka w ciemnym kraju*, (nowella), kop. 60.

Zaleski K., *Pani Podkomorzyna*, komedia, kop. 60.

Zbigniew, *Meleszkowie*, *Pani Borejszyna*, powieści, rs. 1 kop. 20.

TREŚĆ. **Adryan Baraniecki**, biografia, przez Maryą Ilnicką. — **Sama jedna**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Obowiązek**, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — **Odczyty**, przez Władysława Nowickiego. — **Korespondencya zagraniczna**, Poznań, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Мая 1881 года.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— I w silnej gorączce hałasował tak, że aż było słychać na drodze i w lesie — dokończył Henryk zawstydzony, spuszczając oczy ku ziemi. — Ludzie słysząc szalony śmiech w głębi domu, sądzili podejrzliwie, że w narożnym pokoju ze spuszczeniem roletami bankietuje hulaszczę towarzystwo. Och, czuję to dobrze, że aby przebłągać za niesłuszne, niegodne, okrutne słowa, którymi tak głęboko dotknięto najszlachetniejsze serce, zaledwie wystarczyć może całe życie człowieka, pełne najtkliwszej, najserdeczniejszej miłości.

Widocznie wystraszona, odwróciła od Henryka twarz i zdawało się, jakoby chciała pobiegnąć wprost przez zarośla, aby tylko jak najprędzej oddalić się od niego.

Towarzysz jej musiał zapewne nie dostrzedz tego zamiaru, gdyż w tej samej chwili zapytał z najzupełniejszym spokojem:

— Czem zajmował się młody pan Franz zanim oddalił się do Kalifornii?

— Gospodarstwem rolnem — odpowiedziała, wymijając krzak, polyskujący tysiącami kropli wody. — Dawniej spodziewał się objąć po ojcu dzierżawę kłucza Gelsungen, ale to stało się już niemożliwą rzeczą. Teraz zaś po tak bolesnym zawodzie i utracie ostatnich nadziei, zamiary jego na przyszłość stały się bardzo umiarkowanymi. Najskromniejsze miejsce, zabezpieczające mu spokojny kawałek chleba i wspólne życie ze swą starą matką, choć by przy najcięższej pracy i w najodleglejszym kątku świata — oto wszystko, czego mu potrzeba.

— W takim razie mógł by pozostać w Hirschwinklu.

Zatrzymała się, spoglądając na niego z wyrazem najwyższej radości. — Czy zechciał byś pan oddać mu folwark w dzierżawę?

Henryk wstrząsnął głową poważnie.

— To już nie odemnie zależy.

— Nie od pana? — powtórzyła z nietajonym smutkiem. — Czyś pan sprzedał Hirschwinkiel?

— Co też pani przypuszczasz? Miał bym sprzedać przepiękną perłę, która tak niespodziewanie dostała się do moich rąk? Och, prędzej odstąpił bym moją fabrykę i wilę pod Berlinem. Otóż położenie jest następujące: folwark już więcej niż od roku nie należy do dóbr Hirschwinkela...

— I w istocie nie możesz pan nim rozporządzić? A więc moi biedni stryjostwo będą musieli szukać znów dachu i schronienia? — zawołała prawie z rozpaczą, spuszczając głowę na piersi. — Ach to okrutna rzecz! I teraz dopiero zawiada-

miasz nas pan o tem, gdy już pokazałeś chorej plan nowego budynku? Czy upoważnił pana do tego terazniejszy dziedzic?

— Jestem pewny, że terazniejsza dziedziczka zgodzi się na to.

— Dziedziczka? A więc do kobiety należy folwark? — Zdawała się zdziwioną i bardzo zasmuconą. — Ale przed chwilą powiedziałeś pan sam, że Otto Franz będzie mógł pozostać na folwarku — więc dziedziczka ma zamiar wypuścić go w dzierżawę?

Uśmiechając się, spojrzał w jej zaniepokojoną twarzyczkę.

— Tego nie wiem — a jeżeli chcesz się pani dowiedzieć, musisz zapytać oto pannę Agnieszkę Franz.

Stała, jak wryta w ziemię i zmieszana, prawie nieprzytomna pozwoliła bez oporu, że młodzieniec ujął obie jej ręce i przez chwilę zatrzymał w swoich dłoniach. Wtedy opowiedział jej, jak wypadkiem znalazł ostatnią wolę swej ciotki, wreszcie z bocznej kieszeni wyjął książkę z notatkami zmarłej pani nadleśniczowej, aby pokazać jej dowód.

Żyzy wzruszenia popłynęły po twarzy dziewczyny przy przejrzeniu przelotnym pisma nieboszczki, lecz nie wzięła do rąk ofiarowanej sobie książki, owszem usunęła ją łagodnie od siebie.

— Ależ to nie jest prawomocny testament — rzekła pewnym, stanowczym głosem, siłą woli przezwyciężywszy głębokie wzruszenie. — Nikt w całym świecie nie przyznał by mi prawa do dziedzictwa na podstawie tej notatki.

— Nikt? — powtórzył przeciągle. — Zkąd powiedziałas pani tak smutną opinię o świecie? Zkąd tak stanowczo utrzymujesz, że są na nim sami ludzie źli, gdy są bogaci? Niewątpliwie, jest dość takich, dla których ostatnia wola krewnych nie nie znaczy, jeżeli nie ma na niej oznaczonej prawem liczby podpisów i pieczęci, ja przecież sądzę, że w takich razach zaprzeczanie ważności zapisów i odwoływanie się do pośrednictwa prawa jest prostą kradzieżą. O, nie wstrząsaj głową, panno Agnieszko, jak gdyby moje pojęcia o sprawiedliwości i prawie były dziwkami! Wprawdzie wiem, że nie jestem bardzo bystrym i łatwo jest wywieść mnie w pole, jak to się w ostatnich czasach pokazało — ale wiem również, że najlepszym, nieomylnym w takich razach sędzią, jest sumienie.

Usłyszawszy przymówkę o wywieśnięcie go w pole, która wyraźnie do niej się stosowała, zarmieniała się mocno i spieszenie szła dalej. Henryk szedł obok, milcząc. Tak minęli las i ukazały się przed nimi zabudowania folwarku.

— Wprawdzie z początku przeraziła mnie ostatnia wola nieboszczki, gdyż zmuszała mnie do wejścia w osobisty stosunek z groźną dla mnie osobą — odezwał się Henryk z żartobliwym, pełnym wesołości uśmiechem, który rozpromienił jego piękną, wyrazistą twarz. — Stłumiłem też w sobie poczucie obowiązku, postanowiwszy powierzyć sprawę tę w ręce mego adwokata. Ale nagle dowiedziałem się o nieobecny synu posesora; istnienie jego zmieniało znacznie stan rzeczy, czyniąc ją bardziej skomplikowaną. Chcąc postąpić rozumnie i słusznie, konieczne należało rozpoznać bliżej stosunki na folwarku. Dla czego testatorka wybrała młodą pannę na opiekunkę dwojga starych ludzi, opiekunkę, mającą zabezpieczyć ich przyszłość, uchronić ich od niedostatku, gdy mieli naturalną podporę: rodzinną, dorosłego syna?

— O pojmuję, dla czego chciała tak uczynić ta dobra, rozumna przyjaciółka — odpowiedziała Agnieszka z głębokim wzruszeniem. — Otton był zbyt dobrym i pobłażliwym aż do słabości. W stosunkach z ojcem nie miał ani woli, ani od-

wagi, zupełnie tak, jak jego matka. Teraz jednak, gdy przeżył tak smutne doświadczenia, gdy już wie, jak okropną rzeczą jest głód, i gdy wie że tylko pracą, oszczędnością i energią, może uchronić rodziców od nędzy — teraz, sądzę...

— Że powinienem zmienić na jego korzyść ostatnią wolę mej zmarłej ciotki?

Milczała przez chwilę, poczem z niewysłowioną wdzięcznością podniosła ku niemu piękne, duże, błyszczące łzami oczy. — O tak! — odrzekła pewnym głosem — jeżeli tylko godzi mi się utwierdzać pana w tak niesłychanej wspaniałości myśli.

Henryk roześmiał się i otworzył drzwiczki ogrodu, do których właśnie zbliżyli się.

— A więc już nie jesteś pani dziedziczką folwarku. Sama i dobrowolnie zrzekłaś się swych praw do niego.

— I to z największą radością! — zawołała wchodząc do ogrodu i z rozjaśnioną twarzą spoglądając na swego towarzysza. — Osobiście nie nie potrzebuję, a przytem od tej chwili wiem, że jakkolwiek los zechce mną miotać, będę tu miała jednak dom rodzinny. O, jest to wielka nieoceniona podpora, którą jedynie panu zawdzięczać będę.

— Sądzę, że ciężką pracą zasłużyłaś pani sobie prawo do tego rodzinnego domu. Ale czy wiesz pani, że żaden mężczyzna nie znieśnie tego, aby jego żona, myślała, że jest dla niej jeszcze gdzieś na świecie dom rodzinny, inny niżeli ten, który on jej daje.

Twarz dziewczyny pobladła mocno.

— Są to stosunki, o których nie myślę wcale — odpowiedziała poważnie. — Guwernantka rzadko za mąż wychodzi. Jest uboga i zwykle, jak to pan sam wiesz, uważają ją za mało praktyczną. Sądzę, że przyzwyyczajenie do życia w domu ludzi bogatych, zajęcia umysłowe odbierają jej tę umiejętność gospodarowania i pracowitego trudu, jaki musi być udziałem żony człowieka nie mającego, więc taki jej się obawia i odwraca od niej. A inny, a bogaty... O nie, stokroć nie... Nie tylko ludzie, nie tylko jego rodzina, ale on sam może niejednokrotnie pomyśleć, że wkradła się zżecznie w jego serce, aby zdobyć sobie jego majątek, używanie życia w dostatku... Nigdy... nigdy... Za żadną cenę!...

— O, Agnieszko! — Henryk ujął obie jej ręce i zatrzymał w swoich pomimo żywego oporu. — Czy w istocie miała byś tak okrutnie ukarać lekkomyślnego szaleńca, który opierając się na, niedorzecznym uprzedzeniu, obrażał swemi słowy najlepszą, najszlachetniejszą, najgodniejszą uwielenia istotę?

Oczy się spotkały i ona spuściła swoje; była blada, chwiała się prawie na nogach, ale nagle płomienie uderzyły jej na lice i szarpnęła gwałtownie ręce, których on jednak nie puścił. W żywych, pełnych miłości słowach błagał o przebaczenie za to, co było jego przekonaniem — złem, niesłusznym, ale niemniej przekonaniem szczerem, które jednak poznanie jej zmieniło, wykorzeniło zupełnie. Miałże wiecznie pokutować za błąd i nieszczęsną zbieg okoliczności, który kazał mu wciąż poznawać w guwernantkach osoby liche, próżne, intrygujące? Co miał zrobić, aby jej dowiedzieć, że teraz żałuje słów i podejrzeń swoich, których już nie ma? — Rozkazuj pani, a wykonam wszystko, wszystko, co każesz, aby odpokutować za mą winę! wołał, a słowa te wymawiał drżącym ze wzruszenia głosem, by zaraz potem dodać namiętnie: — O Agnieszko! ty nie wiesz nawet, że nie ja, lecz ty będziesz tu obdarzającą. Póki nie poznałem cię, byłem do szwałym, zarozumiałym młodzikim; mogłem jedynie żyć życiem zewnętrznym, trzeba mi było rozrywek hałaśliwego

miasta, aby wypocząć po trudach, i ty dopiero jak czarodziejka jaka obudziłaś we mnie nowe życie, inne jego pojęcie, uczucie innych jego uciech i rokoszy. O... Agnieszko, ukochana moja, uroczą moja — światło i piękności mego życia, jego poezjo, znaleziona nagle wśród gorących serca uderzeń...

Ona spuściła głowę na piersi, z ust jej nie wyszło ani jedno, jedyne słówko, ale duże, błyszczące łzy spływały po policzkach, a jego wzruszenie rosło, lecz razem nabywał przekonania, że nie jest obojętnym sercu Agnieszki.

— Właściwie nie powinienem dłużej pytać, lecz poprostu wziąć to, co jest niezaprzeczenie mojem — zawołał też, a radość, która przenikała mu serca odbiła się w głosie. Czyż ptaszniak prosi małego więźnia o pozwolenie zatrzymania go? A moja byłaś pani już w owej chwili, gdyś dobrowolnie weszła do mego domu. Tak, tak jest o słodka! ukochana dziewczyno mój! nie miłosierdzie Samarytanki, nie poczucie obowiązku, ani chęć dotrzymania danego słowa, skłoniło cię do przewyciężenia dziewiczej skromności, lecz to samo potężne, niepokonane uczucie, które na wieki przykuło mnie do twych stóp. Należy mi do siebie na zawsze, na wieki, próżno chcesz jeszcze dłużej walczyć i opierać się?

— Czyż mogę? — szepnęła, ukrywając twarz na jego piersiach.

Stali niedaleko lipowej alei, a tak jak w nich, w całym ogrodzie panowała uroczysta cisza. Słychać było każdą, pojedynczą kroplę wody, spadającą z drzew na ziemię. Ciszy tej nie zakłócało nic, nawet słówko żadne dwojga szczęśliwych, tkliwie trzymających się we wzajemnym objęciu.

Później dłoń w dłoni poszli przez ogród ku folwarkowi. Gdy przechodzili obok warzywnych grządek, gdzie przy pierwszych odwiedzinach dziedzica sługa posesora spuściła szybko rękawy, aby nie dojrzał pięknych ramion, Henryk zapytał ją z tkliwym uśmiechem: — Co to było ukochana? Czy prócz skromności, nie działał wtedy gniew na mnie, a może i duma szlachecka? O przyznaj się szczerze, duma to skłoniła cię do tej komedii, w której grałaś rolę sługi posesora.

— Zarumieniła się, ale i uśmiechnęła zarazem. — Może — szepnęła — może trochę dumy było w tem, com czyniła z początku. Stryj tak rozpacział, rozpacz ta miała dla mnie zrazu tylko komiczną stronę, ale powoli... O! kiedy serce kocha, stajemy się słabemi... Ale pan popchnęł mnie najdalej i uczyniłś zaciętą... Obrażona na ciebie, postanowiłam sobie, że nigdy nie ujrzyysz wyszydzanej nielitościwie guwernantki, a przeto stryj łamał ręce na samą myśl, że nowy dziedzic może poznać w służącej jego synowicę i zaklął mnie na wszystko, abym się nie zdradziła, dopóki pan nie odjedziesz z tych stron. Biedny starzec jest mimo próżności bardzo, bardzo dobry: chodziło mu i o mnie...

— Szkaradny egoista! — dokończył Henryk półgłosem, idąc sam przez podwórze, Agnieszka bowiem pobiegła naprzód, aby przebrać się w swoim pokoju na poddaszu.

Posesor stał przy otwartym oknie i właśnie zamierzał wytrząsnąć popiół z fajki. Nie zauważył synowicy, która przebiegła pod samym domem, ale spostrzegł dziedzica, idącego środkiem podwórza.

— Ach, jesteś pan zdrów i cały, jak widzę! — zawołał wesoło. — Prosimy, prosimy, biedna żona moja niepokoiła się bardzo o pana.

— No, droga Zuzanno, czy jesteś zadowolona teraz? — mówił dalej, śmiejąc się na głos, gdy Henryk wszedł do pokoju. — Oto masz przed sobą, naszego młodego sąsiada; zdrów, świeży i nawet wcale nie przemoknięty! Domyslałem się, żeś pan szczęśliwie zemknął przed burzą i doprawdy, że masz się z czego cieszyć. To mi dopiero ulewa! A wyobraź pan sobie, że naszej Ani nie udało się tak pomyślnie... Niepokoiłiśmy się

bardzo, lecz na szczęście, schroniła się do leśniczówki. Niedawno wróciła, ale bez kapelusza, zmoknięta i cała drżąca jak liść osinowy. A trzeba panu wiedzieć, że wcale nie jest lekka. Po ojcu płynie w niej żołnierska krew i nie brak jej odwagi, ale tak straszna burza wśród lasu, to panie nie żarty!

— Wiem to z własnego doświadczenia, gdyż i ja znajdowałem się w lesie podczas burzy — rzekł Henryk, przystępując do łóżka chorej dla powitania jej.

— Tak? Ale dla czegoż naraziłeś się pan na to? Miałeś czas dostać się do domu...

— Odehodziąc z tąd, już powiedziałem panu, że idę na poszukiwanie zaginionej — odpowiedział młodzieniec spokojnie. — Należało więc na prawdę szukać, a nie chronić się pod dach i czekać beczynnje.

— Wszakże wiesz pan, że poszedłem szukać odprawionej służącej — dodał, widząc ze skrytą przyjemnością, że stary zaczerwienił się cały.

Ale uczuł zarazem, że ręka staruszki, którą właśnie trzymał w swoich, zadrażała mocno i pochylając się ku niej rzekł:

— O proszę, bądź pani spokojna! — Zapewniam, że nie masz pani żadnego powodu do obawy. Wprawdzie była to dla mnie bardzo ciężka droga i musiałem stoczyć jeszcze zaciętą walkę — ale ostatecznie znalazłem...

— Znalazłeś pan? — powtórzył stary, jakając się i osłupiały wypuścił z ręki fajkę. — Panie, czy chcesz żartować sobie z nas?

— Mężu! — jęknęła chora drżącym głosem.

— Pozwól mi pan skończyć — odezwał się Henryk poważnie. — Komedya omyłek, w której odgrywałem główną rolę, już skończyła się i wcale nie mam zamiaru jej przedłużać. W istocie tak jest, jak powiedziałem: znalazłem tę, którą szukałem. Jej piękność i wrodzona szlachetność są tak wybitne, że nawet w ubiorze prostej dziewczki nie mogły one pozostać niepostrzeżone i nieocenione. Otóż i na mnie wywarły wielkie wrażenie, a że wysoko cenię w kobiecie uczciwą pracę, szlachetność charakteru i energię, że przekładam te przymioty nad wytworne obyczaje i delikatne próżniactwo dam wielkiego świata — więc pokochałem całym sercem.

Odwrócił się od łóżka ku posesorowi, który usunął się pod okno i zakłopotany mocno, spoglądał niby z wielką uwagą na puste w tej chwili podwórze.

— Tak, szanowny panie, oddawna już pokochałem służącą państwa. Nagle powiedziano mi, że została odprawiona, i pan sam potwierdził mi to wyraźnie. Nie powinienem więc dziwić się, że samochem naraziłem się na straszną ulewę i burzę, szło mi bowiem o szczęście całego mego życia. I — jak powiedziałem — odnalazłem ją, lubo pod inną postacią. Scena odegrała się zupełnie tak, jak w cudownych baśniach, w których w stanowczej chwili bohater, lub bohaterka zrywają pieczęcie zaklęcia. Okazało się, że na folwarku jest ostatnia, najwyższa instancja, do której powinienem się zwrócić i oto przychodzę, pokornie prosząc o rękę mojej ukochanej.

— A to szatan nie dziewczyna! Taki mały dyabełek prowadzi potajemnie cały romans, podczas gdy starzy jej krewni ani domyślają się tego! — zawołał posesor, starając się ukryć zakłopotanie. — Ale bądź spokojny, drogi panie, oddamy ci ją, oddamy. Wszakże zgadzasz się, droga Zuzanno?

— Pytasz, mężu, czy się zgadzam — wyjąkała staruszka z głębokim wzruszeniem. — Na kolana chciała bym podziękować Najwyższemu za to szczęście, którem obdarzył nasze dobre, ukochane dziecko.

Posesor zakaszlał mocno i otworzywszy drzwi,

donośnym głosem zawołał synowicę, która natychmiast zbiegła ze schodów i weszła do pokoju wdzięczna, słodko uśmiechnięta, w jasnej letniej sukience. Ukłękła przy łóżku chorej i pochyliła swą piękną główkę, na której spoczęły, błogosławiąc, drżące, wyschłe ręce staruszki.

— Co za szczęście dziecię moje! — szepnęła wylewając łzy radości. — To tak, jak połączenie Boasa z Rutą!

— Moja żono, cóż za nedorzeczne porównanie! — zawołał stary fanfaron z niechęcią. — Nasza Agnieszka i dziewczyna zbierająca kłosa po polach! Szanowny panie, bądź przekonany, że mimo naszego obecnego położenia, ta którą uważamy za córkę, nie wejdzie do twego domu bez przyzwoitego posagu. Niech tylko mój chłopiec powróci z Kalifornii.

Agnieszka, mocno zmieszana, spojrzała błagającym wzrokiem na Henryka, a biedna chora, jak gdyby wyczerpana opadła znów na poduszkę, podczas gdy posesor wyszedł, aby — jak powiedział — przynieść z piwnicy butelkę wina, którą należało wypić na uczczenie szczęśliwego zdarzenia.

— Ach, jak że to bolesna rzecz! — rzekła z westchnieniem chora. — Biedny mój syn przedstawia się wciąż wyobraźni ojca, jak Nabab obławiany złotem. I dla tego może tak odwłóczy swój powrót, a ja oddała bym resztkę mego biednego życia, aby tylko powrócił, chociaż by nie miał nic... Oh! gdybym go tylko zobaczyć mogła jeszcze! Ale to próżno — mój biedny syn nie żyje!

— Żyje! — zapewnił Henryk, ujmując ją za rękę. — Zobaczysz go pani i może nawet wkrótce. Wszystko wezmie szczęśliwy obrót, tylko bądź pani spokojna i zaufaj mi zupełnie.

— O, niech Bóg błogosławi pana, niech ci da tyle szczęścia, na ile zasługujesz! — szepnęła staruszka drżącym ze wzruszenia głosem i wzniosłszy w górę ręce, zdawała się błagać o to nieba.

Coby na to wszystko powiedziała zacna p. Komissarzowa, gdyby była obeoną powyższej scenie? Bardzo powątpiewamy, czyby się czuła zadowoloną, bo najpierw duma matki została by ciężko dotknięta, że tak świetny los spotkał inną, a nie jej ukochaną jedynaczkę; następnie, że względem tej innej nie okazała się bardzo serdeczną. A przeto ileż teraz będzie miała kłopotu i trudu, zanim pokończy niezliczone przygotowania i całą tę sprawę przyprowadzi do należytego porządku?

Nazajutrz po burzy stała wraz z córką w sieni, rozkrawiając na równe części olbrzymi plasek z rodzenkami, a przed dworem na schodach tłoczyła się gromadka małych smakoszy z Tillröde z błyszczącymi pożądaniami oczyma. Tylko należyty p. Komissarzowej szacunek powstrzymywał malców na progu otwartych na rozcież drzwi. Do wnętrza nie wolno było im wejść, bo białe fartuchy pani komissarzowej i panny komissarzówny aż olśniewały świeżością, starannie wymyta podłoga w sieni błyszczała tak samo, a w otwartych drzwiach kuchni stała przy stole służąca Hanna, rzucając mordercze spojrzenia na bosa zabłocone nóżki, dziatwy.

(Dokończenie nastąpi).

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Zresztą — odezwał się znów Edward — jestem pewny, że nie wszyscy szukają zapomnienia w pijaństwie. Zbliźmy się, a zobaczysz...

Wkrótce znaleźli się w pośród obozu Irlandczyków. Zastali tam grupy, godne ołówka Caillota, ludzi pijanych, z twarzami rozpłomienionymi, gestykulujących, krzyczących, z samochwałami pogróżkami na ustach. Słuchając ich, można by przypuszczać, że żywcem pożrą całą Anglię.

— Och, ci krzykacze z pewnością pierwsi uciekną jutro z placu boju! — odezwał się Edward. — Tak u nas, jak wszędzie uczyniono już nieraz to spostrzeżenie, że ludzie umiarkowani i spokojni, ci którzy podczas pokoju oddają się pracy użytecznej, są najwaleczniejszymi na wojnie. Porządek i karność, na których opiera się pomyślność narodów, tworzą jedynie dobrych żołnierzy do ich obrony. Ale zaręczam ci, wiehrabio, że znajdują się tacy i w naszych szeregach. Pójdźmy tylko nieco dalej.

W istocie, o kilkadziesiąt kroków ztamtąd cały batalion ochotników przypominał swem zachowaniem się armię francuską.

Tylko tu spotkano kobiety. Jedne rozmawiały z braćmi, mężami lub synami, inne modłać się czuwały może nad ostatnim snem swych ukochanych.

Dwaj przechadzający się mieli już powrócić do swego obozu, gdy nagle doszedł ich z oddali poważny i uroczy głos, rozlegający się w pośród nocy.

Wstąpili na wzgórek i u stoku jego ujrzeli około tysiąca Irlandczyków, ubranych w mundury i powiększej części klęczących na gołej ziemi. Słuchali oni z pobożnością słów starca kapłana, przemawiającego do nich z zapalem i często wznośzącą rękę ku niebu.

— To jest John Murphy, zwany ojcem Janem — odezwał się Fitz-Gerald schylając również głowę.

Tankred z ciekawością przyglądał się tej legendowej postaci, o której tyle już słyszał od Dzikiego Ira i innych.

Widocznie i lord Edward miał dla księdza wielki szacunek, a natchniona mowa starca, jego poważna, łagodna idealnie piękna twarz usprawiedliwiały pełną czci miłość, jaką zjednał sobie w całej Irlandyi. Był on niewątpliwie chrześcijańskim bohaterem, który osobiście nigdy nie rozlewając krwi ciemiężców, towarzyszył uciemiężonym w walkach, podzielał ich trudy i niebezpieczeństwa, a własnym przykładem zachęcał do poświęcania wszystkiego dla wybawienia ojczyzny. Wysoka postawa ojca Jana, zdaleka przypominając kamienne posągi w starych gotyckich przysionkach, twarz chuda i blada, łyse czoło, otoczone długimi białymi włosy, spojrzenia, słowa, wszystko nadawało mu wyjątkowy charakter.

— Jest to święty! — mawiali wszyscy.

Wydawał się on męczennikiem i apostołem.

— Ach! — szepnął ze wzruszeniem Fitz-Gerald — gdybyś pan go znał, gdybyś wiedział jak on jest dobrym i poświęcającym się dla innych? Kto go tylko pozna, musi go kochać. Kogo on pobłogosławi dziś wieczór, tego z pewnością i Bóg nie odrzuci.

Gaillfontaine i jego towarzysz powrócili do francuzkiego obozu.

O drugiej rano dano sygnał do wyruszenia w pochód.

Z początku nie natrafiono na opór. Lecz o świcie gdy zbliżono się do Ballynamuck, usłyszano nagle wrzawę bitwy i strzały.

Kilkunastu konnych pędziło ku naszym wojskom w najcięższym galopie. Lecz nie byli to nieprzyjaciele: jadąc, wołali głośno:—Erin go bragh!

Edward i Tankred poznali Dzikiego Ira! Jechał na przodzie, mając obok siebie Uncasa.

Humbert pospieszył na spotkanie przybywających.

— Generale—odezwał się Jakób—oto wszystko, co mi pozostało...

— Jakto? A więc powstanie z Longfort?...

— Rozbite! zniszczone do szczytu! Przybyszy, aby umrzeć razem z wami!

XLIV.

Ostatni nabój.

Przywitalo się.

Następnie, gdy dalszy pochód okazał się już niepotrzebnym, zaczęto przygotowywać się do bitwy.

Dziki Ir zbliżył się do Fitz-Geralda.

Obaj bracia uścisknęli się serdecznie.

— Pójdę walczyć na czele naszych Irlandczyków—rzekł Jakób. —To moje miejsce.

— I moje również — oświadczył Edward stanowczo.

— Nie! — zawołał Jakób. — Nie zapominaj, że obecnie jesteś margrabią de Grandlieu. Tylko to nazwisko może cię jeszcze ocalić.

Gaillfontaine wniósł się do rozmowy:

— Jakób ma zupełną słuszość, powinienś uczynić tak, jak ci radzi. Magnat francuzki jeżeli nie zginie w bitwie, może jeszcze uniknąć niebezpieczeństwa — dla lorda Edwarda Fitz-Geralda nie ma nadziei.

— Edwardzie — odezwał się znów Dzikie Ir z tklivością — pomyśl tylko o żonie i dzieciach, o matce, siostrze i wszystkich tych, którzy cię kochają! Zaklinam cię, pozostań z panem wiehrabią! Jestem starszym bratem i jako taki rozkazuję ci!

A gdy Fitz-Gerald wahał się jeszcze, on wy dobył z pasa pistolet i zawołał:

— Słuchaj Edwardzie, jeżeli pójdiesz za mną, przysięgam na Boga, że natychmiast roztrzaskam sobie czaszkę!

W oczach Dzikiego Ira błyszczało tak niezachwiane postanowienie, że młodszy brat nie mógł się dłużej opierać.

— Dobrze! — rzekł.—Tu, czy tam spełnię mój obowiązek.

Czoło Jakóba wyjaśniło się.

— Kto wie — szepnął — kto wie, czy i ja nie przeżyję pogromu? Wszak nazywają mnie tym, który nie umiera nigdy!

Uncas odezwał się jakimś mruknięciem potwierdzającym.

Bracia jeszcze raz rzucili się we wzajemne objęcia.

— Jeżeli umrę, a ty przeżyjesz mnie, Jakóbie, szepnął Edward drżącym ze wzruszenia głosem — wówczas pamiętaj o mej żonie i obietnicy, którą uczyniłeś w Kildare.

— Bracie — odpowiedział Jakób—jeżeli stanie się przeciwnie, polecam twej opiece Kornelię.

Powiedziawszy to, Dzikie Ir oddalił się szybko w towarzystwie Uncasa i kilkunastu powstańców, którzy przybyli z nim do francuzkiego obozu.

W tej chwili zabrzmiały trąbki, dźwiękiem przenikliwym i daleko rozlegającym się jak pianie koguta. Z metalicznym ich głosem połączył się poważny i głuchy huk bębnow.

Słońce ukazało się na nieboskłonach.

Na wszystkich wzgórzach dookoła stała uszy-

kowana angielska armia, otaczając Francuzów i Irlandczyków nieprzerwanym kręgiem żelaza i ognia. Trzydzieści tysięcy żołnierzy!

Siedemset Francuzów oczekiwało ich z bohaterką nieustraszoną.

Gdy armatnia kula zrobiła w tłumie krwawy wyłom, ścisnęli szeregi i o to wszystko.

Postawa ich i gotowość do oporu przejęła wrogów uwielbieniem. Lord Cornwallis uniesiony wrodzoną mu szlachetnością, pragnął ocalić ten dzielny hufiec walecznych.

Kazał zaprzestać kanonadę i wysłał konnicę, która otaczając dookoła nieustraszone wojsko bohaterów wołała nieustannie:

— Poddajcie się!... Poddajcie się!... Złóżcie broń!...

Humbert dał tę samą odpowiedź pod Ballynamuck, która kiedyś później miała uniemożliwić Cambrona.

Ustroił się on w swój najświetniejszy mundur, we wszystkie swe hafty i pióra, pragnąc poledz tak, jak się wdrapał na wyżyny społeczne: po rycersku i z teatralnym efektem.

Nigdy nie wydawał się tak olbrzymim i wspaiałym. Chrobry wódz z czasów Karola Wielkiego. Drugi Roland z pod Roncevaux!

Owi dragoni, owi ułani, szasery i strzelcy lisów tak liczni, nieustannie cofali się — Humbert ośmielił się wielokrotnie szarżować na nich na czele swych pięćdziesięciu konnych, którzy mu jeszcze pozostali. Wreszcie gdy połowa z nich zgineła zawołał:

— Zsiadać z konia! — Teraz będziemy się bić jak grenadyerowie!

Podniósł z ziemi strzelbę i ładownicę rannego żołnierza i zaczął strzelać z taką szybkością i wprawą, jak za owych czasów, gdy nosił wełniane szlify.

— Nie zapomniałem jeszcze obowiązków szeregowca! — zawołał.

Trzy armatki, obsługiwane szybko i zręcznie stały się również straszliwymi. Nieprzyjacieli kilkakrotnie cofał się i to z ciężkimi rzeczywistymi stratami. Raz nawet zdarzył się wśród Anglików paniczny popłoch i generał śmiejąc się swym dźwięcznym śmiechem, zaczął odyskiwać nadzieję. Któż mógł zaręczyć, czy i dziś nie powtórzy się historia z pod Castelbar?

Często bardzo ustawiano się w czworoboki. Olbrzymi wódz całą wysokością swej postawy panował nad hufcem walecznych, a szeregi licznej konnicy angielskiej wydawały się wzburzonymi bałwanami, rozbijającymi się o ostre kanty niepożytej skały.

— Na bagnety! — wołał wtedy, rzucając się pierwszy na wrogów.

A żołnierze jego, jego przyjaciele, Fitz-Gerald, Gaillfontaine zelektryzowani przykładem bohatera, biegli przed siebie jak szaleni w pośród gestych kłębow dymu i kurzu.

Raz, gdy dym zrzędził na chwilę, wiehrabie-mu zdawało się, że wpośród angielskich dragonów ujrzal ich pólkownika, sir Reginalda Cornwallisa, chwilejącego się na koniu, który unosił go w najcięższym pędzie. Czy była to rzeczywistość, czy tylko przywidzenie gorączkowej walki?

Ta walka, ten bój bohaterski trwał już przeszło godzinę, gdy nagle dwa francuzkie jaszczyki z prochem wyleciały w powietrze. Zaczynało brakować amunicji.

Lecz na prawo, gdzie bitwa wrzała z równą zaciętością, strzały nie ustawały ani na chwilę. Irlandczycy trzymali się dobrze. Później dowiedzano się o świetnych czynach Dzikiego Ira. Czyż więc Francuzi mogli uznać się za zwyciężonych, gdy sprzymierzeńcy ich walczyli jeszcze?

Republikański wódz, wzniosły jak jeden z bohaterów Homera, czyli jak jeden z pół-bogów, uchwycił sztandar, podziurawiony kulami i objawszy go obu ramionami, ukląkł na ziemi, intonując potężnym swym głosem ostatnią zwrotkę ukochanej Marsylianki. Wówczas wszyscy, którzy żyli jeszcze, upojeni, oszaleli z zapachu zerwali się i jak lwy rzucili się na wrogów, których odtrącili gwałtownym uderzeniem. W tem zamieszaniu bagnet olbrzyma złamał się. Uchwycił za

lufę i kolbą tłukł, niby maczugą. Wszyscy towarzysze jego walczyli z wściekłością rozpacz. Wysockie kupy trupów utworzyły wał, po za którym odpoczęli przez chwilę. Jeszcze raz nacierający zostali odtrąceni.

— Ładunkil! — krzyknął Humbert.

A gdy rozdzielono małą resztkę, pozostała jeszcze, komenderował z kolei.

— Nabijaj! Broń do oka! Ognia!

— Niechaj nikt nie powie, że pozostał nam choć jeden niewystrzelony nabój.

Następnie obejmując wzrokiem plac boju, na którym leżała połowa jego żołnierzy, złamał strzelbę, złamał szpadę i z gestem zwyciężonego tytana, z głośnień łkaniem, wyrwijacem się z uciśnionej boleścią piersi, kazał wywiesić parlamentarską chorągiew. Nikt mu nie uczynił zarzutu, że poddał się zawczasem!

Sarrazin, lubo ranny cięciem pałasza, przyjął na siebie bolesne posłannictwo, udania się do wicekróla. Gaillefontaine towarzyszył mu jako tłumacz.

Wicehrabia zanim oddalił się, wymógł na Fitz-Geraldzie przysięgę, że zaczeka aż do jego powrotu.

Obok tego Edward przyrzekł mu również, że natychmiast opatrzy dwie nowe rany, na szczęście nie nieznaczące.

Tankred znajdował się w tem samym położeniu, lecz nie myślał o sobie.

Oba parlamentarzy mieli do przebycia rozległą przestrzeń, przedstawiającą straszliwy widok. Nigdy tak słaba armia nie zadała tak silnych ciosów!

Pomimo tego, gdy przechodzili przed półkiem Szkotów, mężni górale powitali ich okrzykami i powiewaniem kapeluszy z koguciami piórami, na znak najwyższej czci dla bohaterskiego mężstwa zwyciężonych.

Lecz czy doznają takiego samego przyjęcia u naczelnego wodza? Jego dumna postawa, zmarszczone czoło, wyraz boleści w oczach, wszystko to kazało się obawiać, aby zwycięzca nie nadużył zwycięstwa.

— Ach, ach! — odezwał się, poznawszy Tankreda — to ty, panie wicehrabio! Wiesz panu sposobu, w jaki odwdzięczasz się za gościnność Anglii. Czy wiesz pan, że ziomkowie twoi zabili nam, lub ranili przeszło pięć tysięcy ludzi? Przed chwilą jeszcze baron Homspach i jego oficerowie doradzali mi krwawą zemstę.

— Ach! to są Niemcy! — odparł Gaillefontaine. — My zaś poddajemy się armii Wielkiej Brytanii, a jeżeli się nie mylę, armią tą dowodzi lord Cornwallis!

Na twarzy i w całym układzie wicekróla zajaśniał wyraz jakiejś pięknej dumy. Nie na próżno zręczny dyplomata odwołał się do jego szlachetności.

— Zresztą — dodał Sarrazin z godnością — nie pozostaje nam nic innego, jak poddać się warunkom zwycięzcy.

Były one bardzo łagodne. Francuzi, jako jeńcy wojenni mieli doznać wszelkich względów, należnych ich mężstwu.

Oficerom pozostawiono szpady. Co do Irlandczyków, na teraz nie udzielono im żadnej łaski i tylko obiecano dać im wkrótce ogólną amnastyę.

Gdy ułożono warunki kapitulacji, Gaillefontaine i jego towarzysze oddalili się.

O kilka kroków od namiotu wicekróla spotkali lorda Roden.

— Czekam na pana — odezwał się do Tankreda.

— Pójdź, wicehrabio...

Młody adjutant zdawał się złamany ciężką boleścią.

Na pytanie Gaillefontana, odpowiedział jedynie poruszeniem głowy i łkaniem. Łzy tłumiły mu głos.

W niejakiem oddaleniu od placu boju, po dziesięciu minutach jazdy kłusem konie skierowały się w zaciszny wąwóz.

Tam na posłaniu z wzrosu leżał rozciągnięty sir Reginald.

Podtrzymywało go dwóch chirurgów. Piersi młodzieńca była zbroczona krwią, twarz jego pokrywała śmiertelna bladłość.

Gaillefontaine zeskoczył z siodła i pobiegł ku rannemu.

— Ach! Więc nie omylił mnie wzrok! — zawołał z boleścią — ranny jest. A czy ciężko? Ale wszak jest nadzieja?...

Jeden z chirurgów, do którego zwrócił zapytanie, wstrząsnął ze smutkiem głową. Niestety była to wymowna odpowiedź.

Na dźwięk znanego mu głosu przyjaciela, Reginald otworzył oczy.

Poznał wicehrabiego, klęczącego na ziemi i pochylonego nad nim. Na pełną niepokoju boleść, błyszczącą w oczach Francuza, odpowiedział smętnym uśmiechem i cichym szeptem:

— Odjeżdżajcie zaraz! Roden was odprowadzi. Powiedz Lucy, że umieram, lecz... ocaliłem jej brata...

Na tej szlachetnej twarzy, w tym wzroku tak łagodnym i tak dumnym zarazem, było tyle rezygnacji, tyle pogody, takie oderwanie się od rzeczy ziemskich, że zdawało się, iż zbliżanie śmierci przygotowało go już dla nieba.

— Och nie, nie! — wyjąkał Gaillefontaine z rozdartem sercem. To rzecz niepodobna! W dwudziestu pięciu latach i mając przed sobą tak świetną przyszłość, tyle szczęścia!...

Konający przerwał mu:

— Nie żałuj mnie! Ona nigdy nie kochała by mnie tak, jak ja ją kocham!

Nieszczęśliwy wpadł w spazmy. Wszyscy obecni milczeli. O kilka kroków, w pośród krzaków śpiewał jakiś ptaszek samotny.

Reginald uczynił ostatnie wysilenie i roztkliwiając się nad przyszłością tej, której już nigdy nie miał ujrzeć: rzek powolnym głosem.

— Och, biedaczka będzie bardzo smutną — a później będzie bardzo samotną! Tankredzie jeżeli powrócisz do Irlandyi... chcę... abyś...

Widocznie zabrakło mu głosu.

— Zresztą — dodał po chwili gasnącym szeptem — moja ostatnia wola jest spisana. Żegnaj cię wicehrabio!

I uściśnawszy dłoń przyjaciela, zemdlął.

Podeczas gdy chirurgowie krzatali się około umierającego, lord Roden położywszy rękę na ramieniu Tankreda, rzekł:

— Spieszmy się! Przyrzekłem mu, że będziecie już daleko ztąd, zanim lord Cornwallis dowie się, że już nie ma syna.

Gaillefontaine pojechał za nim z również rozdartem sercem. Towarzyszyło im kilku dragonów.

Wkrótce przebywano miejsce, na którym wrzała najzaciętsza walka. Na każdym kroku trupy. Pomiędzy oficerami był Fontaine, adjutant generała. Z żołnierzy: Paryżanin, wesół romansowy sierżant, i Fritz, biedne dziecię Alzacyi.

Stan Edwarda ran nie straszył, ale z kolei Gaillefontaine powinien był dać opatrzyć swoje.

W tej chwili zjawił się Pat. Wystarał się o konia i ubrał się znów w liberyę.

— To mój paszport — szepnął zeicha, przystąpiwszy do swego pana.

Zresztą przyłączenie się jego do Gaillefontana uważano za rzecz zupełnie naturalną. Lord Roden nawet nie spojrzał na niego.

Należało jeszcze pożegnać generała Humberta.

Siedząc na połamany jaszczku zdawał się oburzonym, nie na Anglików jednak, lecz na Dyrektoryat. Zapomnienie o nim, czy opuszczenie go było w istocie zdradą.

Barras byłby niewątpliwie zadrzał, gdyby mógł widzieć wtedy Humberta. Zbroczony krwią nieprzyjaciół i swoją własną, w mundurze poszarpanym w kawałki, z zaciśniętymi pięściami, z zaiskrzonymi oczyma, z brwią namarszczoną i przekleństwem na ustach, ryczał jak lew uwięziony.

— Przyszłość da ci jeszcze odwet, generale — odezwał się do niego Gaillefontaine — a ja będę prosić Boga, aby pozwolił mi być świadkiem tego. Mam przecucie, że się spotkamy jeszcze.

I uściśnawszy serdecznie rękę bohatera, udał się za swemi towarzyszami drogą, wiodącą ku północy wschodowi.

XLV.

Na wygnanie.

Tankred porzucając zwyciężonych rodaków, zegnał ich w przejeździe życzliwym ukłonem.

Ich postawa zrezygnowana, lecz dumna, na długo wyryła się w jego pamięci. We dwadzieścia pięć lat później, gdy zobaczył pierwsze rysunki Charleta, zawołał:

— Och, to są w istocie moi dzielni towarzysze z pod Castelbari Ballynamuck!

Następnie należało przebyć szeregi armii angielskiej. I tu również, chociaż u zwycięzców, panowało ponure milczenie. Zwycięstwo kosztowało nazbyt drogo!

Widok lorda Roden otwierał wszędzie drogę. Tylko raz jeden wicehrabia de Gaillefontaine i markiz de Grandlieu musieli okazać swe paszporta.

Dostawszy się na szczyt najwyższego pagórka, panującego nad całą płaszczyzną, na której przed chwilą wrzała zacięta bitwa, oddalający się jak by za wspólnem, milczącym porozumieniem, odwrócili się, się po za siebie.

Już jeno w prowadzono drogą, wiodącą ku Dublinowi. Od wschodniej strony angielska konnica uganiała się za biednymi Irlandczykami, uciekającymi we wszystkich kierunkach. Jeden tylko ich oddział był tyle szczęśliwym, że zdołał się przebić do niedalekiego lasu, z kądem jeszcze rozległo się kilka strzałów. Gaillefontaine i Fitz-Gerald zamienili ze sobą spojrzenie, wyrażające jedną i tę samą myśl:

— Jeżeli Jakób nie zginął — znajduje się niezawodnie tam!

Ku południowi, przed samym parowem, gdzie być może sir Reginald oddał już ostatnie technienie, zgromadził się sztab główny naczelnego wodza, lorda Cornwallisa.

— Biedny ojciec! — odezwał się lord Roden. — Och, gdyby przyjęto mą radę wczoraj wieczór, ileż uniknięto by ofiar, iluż szlachetnych ludzi żyło by dotąd! — Poczem po chwili milczenia dodał jeszcze:

— Powinieniem zawiadomić panów, że skoro tylko sir Reginald przekonał się, że będzie mógł was ocalić, natychmiast wyprawilem z jego rozkazu sztafetę do kapitana amerykańskiego brygu w przystani Killala. Będzie więc gotów do odplynięcia zaraz po naszym przybyciu.

— Szlachetny przyjaciel! — szepnął wicehrabia. — Nawet śmierć nie powstrzymała go od spełnienia obietnicy. Pamiętał o nas do końca!

Odtąd jechano w milczeniu. Fitz-Gerald zagłębił się w ponure rozmyślenia. Czynił sobie gorzkie wyrzuty, że prawie sam jeden przeżył pogrom swej ojczyzny i ta myśl przejmowała go taką rozpaczą, że gdyby nie troskliwa czujność Tankreda, szlachetny szaleniec byłby powrócił między zbiegłych rodaków, aby przynajmniej mógł umrzeć wraz z niemi.

(Dokończenie nastąpi).